ŚWIAT

CENA 1 ZŁ.

Nr. 12
24 MARCA 1934 R.

W numerze:

L. Chrzanowski
Jak „oni" mówią...

Leon Wasilewski
Granica Polsko-Sowiecka

Szczęsny Rutkowski
Wystawa Międzynarodowa w Warszawie

Bruno Winawer
Powrót do natury

Z. Norblin-Chrzanowska
Z wystawy w I. P. S.

Ankieta „Świata":
H. Stażewski, W. Wąsowicz, i K. Witkowski mówią o sobie

W. Brzeska
Korespondencja z Poznania

Warszawa przed pół wiekiem

Don Kichot (felieton)

Świat książki

U warszawskich „Imciarzy"

Rysunki dziecięce

Teatr

Film



Łowiczanka w Niedzielę Palmową — Fot. Photo-Plat

ŁÓDZKO-WARSZAWSKIE TOW. TRANSPORTOWE

WARSZAWA
ul. Sienna 94, tel. 5.92-80 i 605-92

ŁÓDŹ,
ul. Dowborczyków 9, tel. 206-90

Codzienny przewóz towarów samochodami do Łodzi i z Łodzi.
Zwózka towarów i przewóz maszyn taborem konnym.
Przeprowadzki, ekspedycja kolejowa, magazynowanie towarów i mebli.

CUKIERNIA

J. GAJEWSKI

Warszawa, Chmielna 47a, tel. 749-40

Na Święta poleca

Babki. Placki. Mazurki. Torty. Sękacze

NA ŚWIĘTA

znane od wielu lat pierwszorzędnej jakości wyroby masarskie.
SZYNKI, POLĘDWICE

POLECA WĘDLINIARNIA

P. Oporski

Warszawa, Marszałkowska 102, tel. 705-39
Grochowska 22, tel. 10-12-00
Brzeska 18, tel. 10-02-16

POGRZEBY

starannie załatwia najstarszy i jedyny w kraju kaucjonowany zakład

J. PEŁCZYŃSKI

NOWY-ŚWIAT Nr. 50. TEL. 610-39



ZABURZENIA w TRAWIENIU PRZEWLEKŁE, UPORCZYWE ZAPARCIA STOLCA, ORAZ NADMIERNĄ OTYŁOŚĆ, BEZ SPECJALNEJ DIETY LUB ZMIANY TRYBU ŻYCIA, USUWAJĄ „**SZWAJCARSKIE GORZKIE ZIOŁA**" Z KOGUTKIEM





Na Święta Wielkanocne

CUKIERNIE

„L. LOURSE"

(rok założ. 1798)

W GMACHU HOTELU EUROPEJSKIEGO, Krakowskie Przedmieście 13 (wejście od Ossolińskich) oraz W GMACHU TEATRU WIELKIEGO

polecają znane ze swej dobroci mazurki, sękacze, torty, oraz wszelkiego rodzaju ciasta, wykonywane z najprzedniejszych surowców po cenach niskich

ŚWIAT

POD KIEROWNICTWEM NACZELNEM LEONA CHRZANOWSKIEGO
ROK XXIX • NR. 12 • DNIA 24-go MARCA 1934 ROKU
(ZAŁOŻYCIEL STEFAN KRZYWOSZEWSKI)





LEON CHRZANOWSKI

Jak „ONI" mówią...

Mussolini, Herriot, Mac Donald — kierownicy polityki międzynarodowej — mężowie stanu, mówcy, hypnotyzerzy mas—rządzą, zdobywają władzę, tracą ją i odzyskują, walczą o programy i teki. Walczą o rząd dusz... i rząd swój.

Walczą rozmaicie — a wśród broni nowoczesnej karabin maszynowy argumentów, zatruta strzała polemiki, — to oręż mówcy i męża stanu, to narzędzie pracy premjera, ministra, przywódcy.

Lloyd George, Barthou, Tardieu, Litwinow, Nadolny, Briand, Politis, Titulescu, Cziczerin, Scialoja, Chamberlain, Streseman, Paul-Boncour, Neurath, Motta, Hymans, John Simon, Eden, Madariaga, Lerroux.

Ludzie rządu i ludzie rewolucji. Ci, co w międzynarodowej współczesnej arce Noego, żeglując na wodach światowego kryzysu, wyglądają gołąbka z różdżką oliwną — a nim go dojrzą, wiodą spory, pertraktują, radzą, mówią...

Jak mówią?

Słyszałem ich i obserwowałem. Na konferencjach, wiecach, zgromadzeniach ludowych, w parlamentach.

Poznanie metody mówienia męża stanu daje często głębsze wniknięcie w istotę jego charakteru, niż to osiągnąć można w banalnym wywiadzie czy oficjalnej deklaracji, lub nawet za stołem poufnych obrad, kiedy gimnastyka trzymania na straży muskułów twarzy maską stereotypowej grzeczności niweluje rangi, inteligencje i cechy narodowe debaterów.

Jak oni mówią?

Posłuchajmy. Przyjrzyjmy się im.

Inne są walory mówców francuskich, inne włoskich a jeszcze inne działaczy angielskich. Zaczniemy narazie od tych trzech najbardziej słuchanych przemówień.

Mussolini i Mac Donald — dwaj mężowie, którzy wyszli z szeregów rewolucji, z partji lewicowych, którzy do mas przemawiali od chwili swych politycznych narodzin, którzy znają tych mas zainteresowania słuchowe, którzy je czują. A jednak jakże różne są ich metody mówienia i nawiązywania kontaktu ze słuchaczem! Inne rasy, metody sugestji, inny poziom stawianych sobie wymagań.

Mac Donald — to minister, premjer żądny władzy. Mussolini — to wódz wierzący w spełnianą misję, tej misji pan i sługa.

Mussolini rzuca na tłum słuchaczy *urok*. Jednocześnie sam ulega tej wysłanej fali, która w powrotnym przypływie wraca doń i powielona przez emocję słuchaczy, działa i na mówcę.

Słyszałem go, gdy jako zwykły poseł wchodził na trybunę parlamentarną, by walczyć sarkazmem i impetem o pierwsze hasła faszyzmu. Słyszałem go, gdy po roku władzy przemawiał do mas z balkonu w Medjolanie.

Staliśmy obok niego, o parę metrów. Staliśmy przeważnie sceptyczni i usposobieni krytycznie.



...Mussolini trybun ludu rzuca w tłum hasła...

Mussolini mówił bez efektów baroku oratorskiego. Mówił jak zwykle bez silenia się na dobór słów, operując prostą budową zdań. Zarówno słowo jego, jak mimika, gest, są pełne plastyki.

Nie cyzeluje zdań, nie bawi się w ornamentację szczegółów—rzeźbi mocnemi uderzeniami. Pełną garścią rzuca z pasją pecyny gliny, z której lepi zwartą bryłę swych przemówień.

Słuchałem go, stojąc w tłumie, gdy przemawiał na Piazza Colonna. Czułem wibrowanie tego tłumu, który prężył się jak głaskany kot lub jak szturchnięty szczeniak kulił się potulnie. Czułem jak ten tłum zasłuchany nagle krzepł, twardniał niechęcią, wzbierał nienawiścią, gdy tam z balkonu padały słowa krytyki, pogardy lub oskarżeń pod adresem nieprzyjaciół Włoch.

Mussolini, przemawiając do mas, pozwala sobie na eksperyment niedopuszczalny z punktu widzenia przepisów retoryki, na eksperyment przed którym ostrzegają wszelkie podręczniki „dla mówców" — *Mussolini rozmawia z tłumem!* Mussolini zadaje temu tłumowi pytania!

Powie ktoś sceptyczny, że jest to tłum zwolenników, wyznawców, tłum „zasilony" czynnikami starannie uświadomionymi. Jest zapewne i to — jak w każdym tłumie, każdego reżymu. Jednak trzeba choć raz, dwa stać w takim tłumie i obserwować tę paniusię z siatką na karczochy, czy tę matronę okoloną dwanaściorgiem drobiąt. Na pytanie: „A chi l'Italia?" — krzyczą „A noi" basy i dyszkanty z samych głębi trzewi.

Mussolini — trybun ludu — rzuca w tłum hasła, porywa niemi, każe w nie wierzyć, budzi entuzjazm i trzyma słuchaczy na wodzy i pod swym urokiem.

Jakże inaczej mówi on w parlamencie włoskim. Widywałem go na Montecitorio, gdy swe wielkie mowy dotyczące polityki zagranicznej *odczytywał*, czasem z umyślną monotonją, bez akcentowania, bez stopniowania.

Premjer w żakiecie wstawał niedbale, automatycznym ruchem ręki poskramiał owacje deputowanych i... czytał. Czytał na wzór angielskich, flegmatycznych przemówień zwykłego sprawozdawcy parlamentarnego. Czytał dobitnie, wyraźnie, jak „zadany" rozdział biblji.

Zdawało się, że chciał jakby podkreślić: „To jest mój program — on sam mówi za siebie, nie potrzebuję niczego podkreślać, komentujcie go sobie sami". W tym wystąpie ministra spraw zagranicznych, różnym od typu przemówienia trybuna, była widoczna nonszalancja ubrana w narzuconą sobie maskę monotonji.

Pamiętam w takim miarowym strumieniu nagle: fontanna, gejzer ironji, świst sarkazmu, cięcie szpicrutą — odpowiedź na jeden z ówczesnych ataków (chwilowych i przejściowych) Stresemana.

Słynny passus o platfusach turysty niemieckiego, o brzydocie turystki, o niegustowności jej stroju, i o tej zapiwionej parze stanowiącej dysonans, plamę, zeszpecenie ruin rzymskiego Forum i włoskiego pejzażu wogóle.

Efekt mówcy pierwszorzędny. Na tle godzinnej suchej, rzeczowej mowy, nagle taki pięciominutowy fajerwerk. Nic dziwnego, że sala parlamentu rozbrzmiała salwami wesołości.

Gdy przyszła potem refleksja, słuchacz zrozumiał, że świetny mówca uwypuklił tym efektem najważniejszy moment swej mowy: urągliwą odprawę daną Stresemannowi.

Zarówno w tych momentach, jak i w rozmowach i przemówieniach wygłaszanych dla kilku osób, jest Mussolini mówcą najbardziej różnolitym. Nieoczekiwane są jego zwroty myśli i akcentowania. Monotonją i płomiennością posługuje się on naprzemian z jednakową maestrją. Każdą mowę ma gotową, *nim* zacznie mówić, i każdą mowę improwizuje, gdy zacznie przemawiać.

* * *



...ręce, jak rozpostarte skrzydła...

(Fot. Keystone)

Królowie bez ziemi gorzej się czują, niż wodzowie bez partji.

Bo są wodzowie, co choć stracili partję — nie tracą stanowiska. Do takich wodzów należy Mac Donald. Ultrapacyfista z czasów wojny, przywódca proletarjatu angielskiego i antymilitarystów, po raz pierwszy objął władzę jako wódz labourzystów, po ich zwycięskiej kampanji w roku 1924. Zjawił się wówczas w Genewie jako współpartner Herriot'a w dziele protokółu genewskiego.

Na arenie międzynarodowej, na trybunie genewskiej — wówczas jeszcze w hotelu Victoria ustawianej — zjawił się mówca o wielkiej

ekspresji i bezwzględnej brutalności.

Wytworna sylwetka Mac Donalda jest kontrastem zdecydowanym do jego sposobu mówienia. Mac Donald żywo gestykuluje — ręce są jednym z ważniejszych akcesorji w jego oratorskich potyczkach. Chwyta się z lubością za górne kieszenie marynarki, gdy ukończywszy jakiś okres argumentacyjny, wodzi dokoła zadowolonym wzrokiem, w przekonaniu, iż żaden ze słuchaczy nie oparł się jego argumentom. Od czasu do czasu wznosi ręce, jak staroświecki hypnotyzer. To znów nagle ręce te jakby rozpostarte skrzydła zdają się szukać równowagi i uspakajać słuchaczy.

Wszystkie te gesty pobłażliwej poczciwości znikają jednak, gdy Mac Donald zaczyna polemizować. Wówczas demaskuje się zimny pasjonat, nienawistnik i brutal.

Pięści tego eks-socjalisty — dziś szefa rządu *konserwatystów* — zaciskają się. Usta wykrzywia skurcz pasji, tężejącej w podbródku. Dławiące pięści wyglądają jakby chciały urwać łeb całemu światu. Oczywiście temu światu, który śmie nie zgadzać się z nim, który śmie jemu oponować.

A gdy spostrzega wreszcie, że pięści jego nie duszą, nie dławią nikogo — to nagle zgina się, pochyla naprzód, ku słuchaczom, i jedną pięścią wali w dłoń drugiej ręki. Ponsowieje mu twarz, warczą słowa, przechodzące w bulgoczący krzyk. Oczy wpite w słuchaczy poprzez okulary wyrażają złość i zdają się wołać: „Bałwany, czyż mnie nie rozumiecie, czyż ośmielacie się mnie nie rozumieć? Bijcie brawo, bo mówię ja — Mac Donald — jedyny człowiek mający rację".

Miota się tak i pieni na trybunie mówca, który z programu walki klas, propagowanego przez życie całe, ocalił w sobie tylko nienawiść — nienawiść do wszystkiego, co śmie się przeciwstawić jego mentorskiemu rezonerstwu.

Mac Donald nie ocalił w sobie nic z trybuna, coby porywał tłumy, coby je rozpalał, entuzjazmował. Jest w nim natomiast trybun pełen złości, który domaga się, aby mu za jego tanie efekty na wiarę bito oklaski i z urzędu korzono się przed jego pomysłami politycznemi.



Kanclerz Dollfuss w Rzymie — na stacji oczekiwał nań Mussolini

Typ mówcy dorobkiewicza, co zbywszy się ideologicznego kapitału — od tego właśnie kapitału obcina kupony, choć ów właśnie kapitał moralny jako balast wyrzucił w swym locie ku... władzy i tece.



Przybycie Goemboesa do Rzymu

(Fot. Keystone)



...dławiące pięści wyglądają jakby chciały urwać łeb całemu światu...

Zjazd w Rzymie

Dyplomaci mają często tę wadę, że w dokonywujących się wydarzeniach widzą wyłącznie, albo przedewszystkiem to, co potwierdza ich tezy, ich raporty.

Z tego wynikają często błędy, a jeszcze częściej rozczarowania i omyłki. „Wierzenia" swe dyplomaci czasami odsłaniają poufnie prasie, a wówczas ich nastrój wiary przenika szerzej, głębiej w społeczeństwo. Jeśli jednak następuje rozczarowanie, to dyplomata może je maskować — społeczeństwo zazwyczaj niecierpliwi się i wpada w gniew.

Podobny objaw możemy obserwować obecnie po odbytym zjeździe w Rzymie. Prasa francuska, szczególniej te organy, które mają żywy i przyjacielski kontakt z Quai d'Orsay, nastrojone były na ton zbliżenia francusko-włoskiego. Dawano do zrozumienia, iż musi ono być konsekwencją zjazdu rzymskiego, dawano do zrozumienia, iż opinja francuska jest bardzo zadowolona.

To, w co chciano uwierzyć, do wierzenia podawano.

A dziś?

A dziś, po mowie Mussoliniego, widzimy wybuch ostrego niezadowolenia.

Mussolini zaś w swej mowie powiedział tylko to, co mówił zawsze, — że „Węgry są obrabowane z terenów narodowych węgierskich", że „Włochy chcą ekspansję swą prowadzić w Afryce i Azji, gdzie natykają się na innych nasyconych już i blokujących polityczną, moralną i ekonomiczną ekspansję Włoch". Że „żadne z zagadnień małych czy dużych, istniejących między Francją a Włochami od 15-tu lat, nie zostało rozwiązane" i wreszcie, że „**niewykonaniem** V-ej części traktatu Wersalskiego byłoby nierozbrojenie się państw uzbrojonych".

W tem ostatniem „wyjaśnieniu" teza niemiecka została silnie poparta. Po tych oświadczeniach krytyka, niezadowolenie i zarzuty prasy francuskiej są w całej pełni.

To rozczarowanie jednak nie jest słuszne. Mussolini z cechującą go dobitnością powtórzył to, co mówił dotąd zawsze. Nie powiedział natomiast tego, co mu optymistycznie chciano przypisać.

Pozwalamy sobie powtórzyć na tem miejscu to, cośmy pisali *przed zjazdem w Rzymie*, w zeszłym tygodniu.

Koncepcja specjalna Włoch w zagadnieniu austrjackiem nie *oznacza odchylenia lub odseparowania się polityki włoskiej od niemieckiej*.

Włochy na temat Anschlusu idą przeciw Niemcom. Ale jest to jak dotąd jedyny punkt rozbieżności, który się jawnie zarysował. Liczenie, iż wobec tego we wszystkich, czy w wielu kwestjach pójdą ręka w rękę z Francją i Małą Ententą, było tylko wnioskowaniem płynącym z przysłowiowego dyplomatycznego optymizmu.

LEON WASILEWSKI

Jak się ustalało granicę polsko-sowiecką



W Podkomisji Mińsko-Nieświeskiej Delegacji Polskiej

I.

Dnia 12 października 1920 r. w Rydze podpisaliśmy preliminarja pokojowe, zaś dnia 18 marca roku następnego traktat między Polską a Rosją i Ukrainą. Krwawa walka i żmudne rokowania dyplomatyczne dały w rezultacie nowy układ stosunków politycznych na wschodzie Europy. Układ ten opierał się o nowe rubieże graniczne, oznaczone na załączonej do traktatu pokojowego mapie linją długości 1412 i ½ kilometrów, która przebiegała ziemiami białoruskiemi i ukraińskiemi od Dźwiny po ujście Zbrucza. Trzeba było teraz przystąpić do ustalenia tej linji w terenie.

Ponieważ już przed wojną zajmowałem się sprawą naszych kresów wschodnich i podczas wojny pisałem niejednokrotnie o przypuszczalnej granicy wschodniej Polski, przeto w trakcie rokowań ryskich przewodniczyłem podkomisji terytorjalnej, zajmującej się szczegółowo sprawą granic między Rosją, Ukrainą i Białorusią a Polską. Konsekwencją tego była moja nominacja na przewodniczącego polskiej delegacji w Mieszanej Komisji Granicznej polsko-sowieckiej, która miała ustalić, zasłupić i pomierzyć nową granicę Rzeczypospolitej na wschodzie.



Wkopywanie słupa granicznego

Technicy polscy i sowieccy przy pracy na Polesiu



Wobec olbrzymiej długości linji granicznej i ze względów politycznych, nakazujących jak najszybsze załatwienie tej sprawy, trzeba było stworzyć bardzo duży aparat wykonawczy. Obok Komisji Głównej powstały cztery podkomisje, które się miały zająć wytyczeniem linji granicznej na poszczególnych odcinkach oraz wykonaniem całego szeregu czynności technicznych (sporządzanie map lokalnych, zdjęcia topograficzne, pomiary, zasłupienie i t. d.), związanych zwykle z przeprowadzaniem granic. Montowanie tego aparatu zajęło sporo czasu, tak że dopiero dnia 22 czerwca 1921 r. wyjechaliśmy specjalnym pociągiem do Mińska, który miał być narazie siedliskiem Komisji Głównej i jednej z podkomisyj.

Do Stołpców jechaliśmy zupełnie normalnie i dopiero tam weszliśmy w „sferę wpływów" sowieckich. Musieliśmy spędzić dwie noce w Stołpcach — w wagonach, trzecią na samej granicy w Kołosowie, ponieważ, jak stwierdziliśmy, parowozy i mosty sowieckie znajdowały się w rozpaczliwem położeniu. Nie lepsze były też wagony, które nam dano: zapchlone, zapluskwione, zaprusaczone i zawszone, skutkiem czego znaczna część jadących niemi nie spała. W Mińsku stanęliśmy dnia 26 czerwca, w hotelu Sutina, naprędce i



W pasie granicznym w Mińszczyźnie

bardzo kiepsko odrestaurowanego od frontu i jeszcze gorzej w oficynie, gdzie czasowo miała się mieścić podkomisja mińska.

Ponieważ znaczna część personelu Delegacji naszej składała się z wojskowych — oficerów, żołnierzy i techników, tak że cywile stanowili w niej mniejszość, wjazd nasz do stolicy republiki Białoruskiej wywołał dość zabawny efekt. Broń naszych żołnierzy, ustawiona w kozły na dworcu podczas wypakowywania naszych rzeczy i zapasów spożywczych, eleganckie mundury oficerów, a przedewszystkiem nadzwyczajny luksus w ówczesnych stosunkach sowieckich — całe buty szeregowców — sprawiały wielkie wrażenie. I, jakeśmy się wkrótce mogli dowiedzieć, po mieście gruchnęła pogłoska: „Polacy wracają do Mińska", przyczem pogłoska ta bynajmniej nie wywołała paniki, ani uczuć dla nas wrogich wśród ludności miejscowej...

Natomiast zjawienie się na gruncie Mińska polskich „sił zbrojnych" wywołało pierwszy z niezliczonych zatargów „dyplomatycznych" między Delegacją Polską a Delegacją Sowiecką. Pomimo, że władze sowieckie przepuściły nas przez granicę, nie czyniąc żadnych trudności naszemu uzbrojonemu w karabiny konwojowi, pomimo, że uzbrojeni żołnierze nasi pełnili straż jedynie *wewnątrz* zajmowanego przez nas lokalu, przewodniczący Delegacji Sowieckiej p. Stanisław Stanisławowicz Pestkowski zwrócił się do mnie z obszerną notą, żądającą, że tak powiem, „powszechnego rozbrojenia" Delegacji Polskiej. W nocie swej i w uzupełniających ją listach p. Pestkowski nietylko protestował przeciwko karabinom naszych żołnierzy, ale również domagał się, aby broń ręczna szeregowych i oficerów była noszona „pod zwierzchniem ubraniem". Powoływał się przytem dość nieszczęśliwie na brak analogji między państwem sowieckiem a Chinami czy Egiptem, gdzie „gmachy poselstw, misyj, konsulatów i t. p. były bronione siłą zbrojną nie miejscowej władzy państwowej, lecz siłą wprowadzoną z zagranicy" co „było poprostu środkiem zniewolenia bardziej zacofanych krajów i służyło celom tak zwanej kolonjalnej polityki". Po wyjaśnieniu, że nasza straż zbrojna bynajmniej nie ma na celu *zewnętrznej* ochrony zamieszkiwanego przez nas „gmachu", lecz służy do ochrony naszego mienia i naszej kasy *wewnątrz* zajmowanego przez nas eksterytorjalnego lokalu oraz do ochrony całej komisji w wypadkach wyjazdu na polskie terytorjum, po ustaleniu następnie, że noszenie broni ręcznej przez szeregowych i oficerów stanowi ich prawo nie kwestjonowane, o ile znajdują się służbowo na obcem terytorjum, zatarg został szczęśliwie zlikwidowany. Mogliśmy tedy przystąpić do normalnej pracy.

Normalną jednak w ścisłem tego słowa znaczeniu naszej pracy nazwać nie było można, chociażby ze względu na warunki, w jakich znaleźliśmy się w Mińsku. Byliśmy bowiem poprostu internowani w naszym hotelu, w którego przedsionku urzędował wojskowy funkcjonarjusz sowiecki. Ten sprawdzał przepustki, wydane przez władze sowieckie funkcjonarjuszom Delegacji Polskiej, wychodzącym z jej lokalu lub powracającym do niego, oraz dbał rygorystycznie o to, aby miejscowa ludność polska nie weszła w jakikolwiek kontakt z nami. Zresztą i przepustki, ułatwiające funkcjonarjuszom Delegacji wychodzenie (w pewnych określonych godzinach) na miasto, niebardzo skutkowały, a zatargi na tem tle wywoływały często wymianę korespondencji między przewodniczącymi obydwóch delegacji, zawierającą z mojej strony zapowiedzi powstrzymania się od dalszych stosunków z Delegacją Sowiecką na wypadek nieotrzymania od niej w określonym terminie satysfakcji.

Poza tem każdy krok naszych funkcjonarjuszy na mieście był tak śledzony, że wychodzenie poza obręb „gmachu" Sutina nic poza przykrością dać nie mogło. Zwłaszcza, że wejście do jakiegoś sklepu w celu np. kupienia kwiatów (jak to było w jednym z wypadków) powodowało natychmiastowe aresztowanie jego właściciela, o ile taka wizyta odbywała się nie w towarzystwie funkcjonarjusza sowieckiego.

(D. c. n.)

Prezydjum Delegacji Polskiej do Polsko-Sowieckiej Komisji granicznej: pułk. J. Hempel, min. L. Wasilewski, K. Rożnowski. Stoi pierwszy sekretarz M. Kowerski





Uroczystości w dniu Imienin Marszałka Piłsudskiego

Tegoroczne obchody ku czci Marszałka Piłsudskiego odbyły się uroczyście i z licznym udziałem publiczności zarówno w Warszawie, jak i w najmniejszych gminach i ośrodkach wiejskich. Liczne akademje, obchody, uroczyste przemówienia, pochody, przedstawienia w szkołach i ochronkach miały miejsce w ciągu niedzielnego popołudnia oraz w dniu samych imienin 19 marca.

Wśród pochodów najefektowniej wypadł pochód licznych delegacji, które wieczorem w świetle reflektorów stanęły przed Belwederem, aby wyrazić cześć, hołd i oddanie, jaką ludność otacza Bojownika Polski Niepodległej, Twórcę i Budowniczego polskiej armji i polskiej chwały.





Pierwszy wiosenny bieg na przełaj w parku Paderewskiego (trasa 5 kilometrów) Fot. Jan Ryś

Zdziczenie moralne

W ubiegłym tygodniu kronika moralnego zdziczenia zanotowała skandaliczny napad na prof. Handelsmana w murach uniwersytetu. Profesor Handelsman w swem życiu politycznem w tych samych murach walczył z rusyfikacyjnemi metodami dawnych władz rosyjskich. Kroczył w szeregach, które w walce o szkołę polską szły przeciw najeźdźcy śmiało, wytrwale, nie bacząc na prześladowania, areszty, wilcze bilety. Dziś, kiedy Uniwersytet zapełnia się młodzieżą ze szkoły polskiej, nie chcemy uwierzyć, aby nocni napastnicy mogli być jej wychowańcami.

Niema takiego ugrupowania ideowego młodzieży, któreby mogło pogodzić swą ideologję z nocnym napadem zbirów na świetnego historyka, cenionego profesora, samotnie po ciężkiej pracy wracającego do domu człowieka.

Słowa sympatji, jakie zewsząd otoczyły prof. Handelsmana, potępienie powszechnie haniebnego wybryku napastników, są dlań niewątpliwie cennym objawem solidarności i współczucia. Ale największą ulgę przyniesie mu śledztwo, gdy dowiedzie mu czarno na białem, że nie było wśród jego napastników ani jego uczniów, ani wogóle młodzieży studjującej.

Nie było — bo być nie mogło.

A męty, które ten napad z zasadzki wykonały, ze względu na dobre imię młodzieży, winny być wykryte i odpowiednio ukarane.

SZCZĘSNY RUTKOWSKI

Wielka Międzynarodowa Wystawa w Warszawie (Artykuł dyskusyjny)

Od znanego art.-malarza i urbanisty, dyrektora Instytutu Propagandy Sztuki, Szczęsnego Rutkowskiego, otrzymaliśmy garść uwag w związku z projektowaną Wystawą Międzynarodową w Warszawie. Zamieszczamy je w przekonaniu, że temat ten interesuje każdego mieszkańca stolicy. „Świat" chętnie otworzy swe łamy rzeczowej dyskusji w tej sprawie.

Latem w roku 1943 ma się odbyć w Warszawie Wielka Międzynarodowa Wystawa. Ma się odbyć — podług utartego szablonu.

Na oddalonych od centrum miasta, podmokłych terenach Saskiej Kępy organizatorzy Wystawy projektują pobudować obfitą porcję „pałaców, hal, kiosków i t. p., dla pomieszczenia możliwie jaknajwiększej ilości eksponatów: lokomotyw, czekoladek, węgla kamiennego, torebek damskich, rur do kanalizacji, rachatłukum etc. Jako atrakcje: luna park, wesołe miasteczko, fontanny świetlne, reflektory kolorowe, dancingi, bary.

Wszystko to samo, co tylokrotnie było pokazywane w Paryżu, Berlinie, Lipsku, Poznaniu...

Podług przybliżonych obliczeń — wywłaszczenie i osuszenie terenów, wysypanie i zabrukowanie ulic, przeprowadzenie oświetlenia i kanalizacji, wystawienie budynków (z najlichszych choćby materjałów) — kosztować będzie koło 700 miljonów złotych.

Aby impreza się opłaciła — nie starczy ciekawych z całej Polski. Wystawa musi przynęcić miljony zwiedzających z zagranicy.

A jeśli nie przynęci?

Z wystawami międzynarodowemi jest coraz gorzej. Nawet nadzwyczaj intensywnie reklamowana Wystawa w Chicago dała podobno dotkliwe straty.

Oby po Wielkiej Międzynarodowej Wystawie Warszawskiej nie pozostało trochę walących się, nikomu na nic niepotrzebnych bud na Saskiej Kępie — i dużo długów.

* * *

W roku 1943 obchodzimy dwudziestopięciolecie odzyskania niepodległości. Warto datę tę upamiętnić jakimś wyczynem o światowym rezonansie, choćby Wystawą Międzynarodową — ale Wystawą naprawdę atrakcyjną, — inną od wszystkich dotychczasowych.

Zamiast naśladowania oklepanych zagranicznych wzorów, urządzenia jeszcze jednego międzynarodowego jarmarku — proponuję zaprezentować całemu światu, jako objekt wystawowy — Warszawę. Tytuł wystawy:

„WARSZAWA — WZOROWA WSPÓŁCZESNA STOLICA".

Jest jeszcze dziewięć lat czasu. Za pieniądze, które mają utonąć w grzęzawiskach Saskiej Kępy, można miasto zupełnie przeinaczyć.

Przedewszystkiem zrealizuje się nareszcie projekty dawno zaaprobowane.

Stanie Dworzec Centralny, uporządkuje się — najlepszy może punkt handlowy w Europie — plac na skrzyżowaniu Al. Jerozolimskich i ul. Marszałkowskiej. Wykończone będzie Muzeum Narodowe, z piwnic i składów wydostaną się nareszcie na widok publiczny arcydzieła polskich artystów.

Na obecnem polu wyścigowem i lotnisku wyrosną nowocześnie zaprojektowane dzielnice, — wspaniały, największy w Warszawie kościół Opatrzności.

Zostanie uskuteczniona Unja Parków, połączone będą w jedną całość Łazienki, Ogród Botaniczny, Park Ujazdowski, Park Sobieskiego; zostanie nareszcie usunięty z najpiękniejszej dzielnicy miasta, z cudnie położonego historycznego Zamku Ujazdowskiego — szpital dla żołnierzy.

Zamek Królewski cały odrestaurowany, konsekwentnie i bez barykad przeprowadzone bulwary od Bielan do Czerniakowa; lasek Bielański uporządkowany; port na Wiśle wykopany, Wisła pogłębiona; przebita nowa arterja komunikacyjna, t. zw. Nord-Sud; lotnisko na Okęciu zupełnie wykończone; autostrada także; wszystkie ulice solidnie wyasfaltowane; wszystkie gmachy rządowe i magistrackie — (nawet Teatr Wielki) — porządnie otynkowane.

Propagandą prasową, uprzejmą sugestją władz, taniemi kredytami — namówi się kamieniczników — nawet tych z Żelaznej i Nalewek — do odświeżenia i przebudowania domów; kupcy, restauratorzy, fabrykanci, zamiast wyrzucać pieniądze na budki i stoiska na Saskiej Kępie, zmodernizują swoje lokale. Specjalnie zorganizowane zespoły — brygady architektów, dekoratorów, malarzy i rzeźbiarzy będą służyć fachową radą i pracą.

Jak pułki na paradę — cała Warszawa wysztyftuje się latem roku 1943.

Wszędzie, w całem mieście, od rogatek do rogatek, na każdym kroku: porządek, pomysłowość, ambicja twórcza.

Autochtoni oraz cudzoziemcy, przyjeżdżający na wystawę, zachwycą się wzorowemi urządzeniami Dworca Centralnego. Na Placu przed Dworcem olśni ich Feerja Reklamowa. Najnowsze typy autobusów, taksówek, tramwai — podziwiać będą nie w martwocie pawilonów wystawowych — ale w akcji, w ruchu.

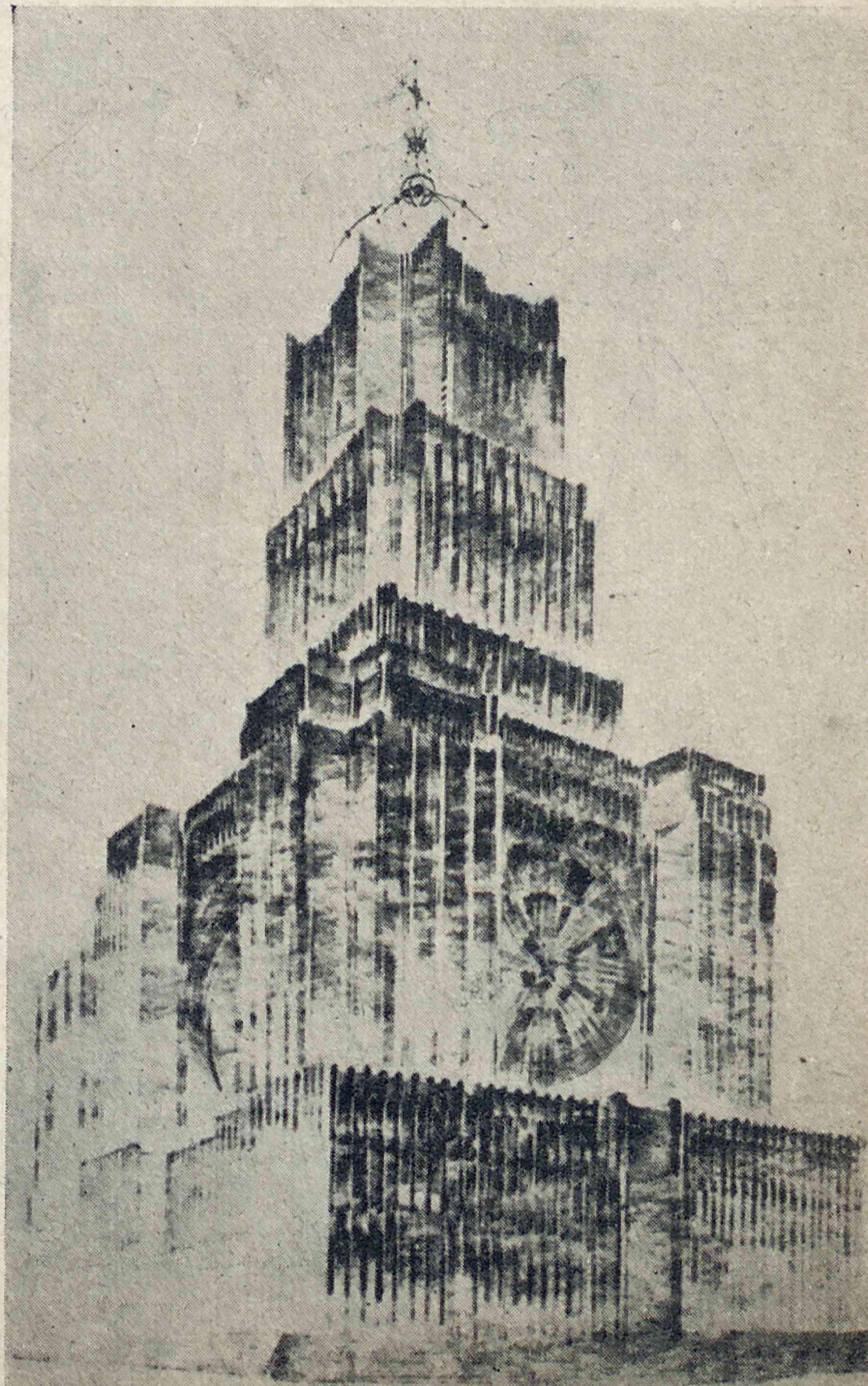
Wszystkie ulice warte będą obejrzenia. Przed każdą witryną oczy wychodzić będą z głowy: w współpracy z malarzami łódzcy fabrykanci wyprodukują perkaliki — symfonje kolorystyczne; księgarze i graficy na rok 1943 dadzą maksimum wysiłku; szewcy warszawscy sięgną po nowe laury, po wszechświatową sławę; cukiernicy, z cukru i kremu spiętrzą zadziwiające cuda. Najuboższy sklepik obmyśli coś świetnego do pokazania.

Wydaje mi się, że tak pomyślana wystawa może przyciągnąć turystów nawet z daleka.

A choćby nawet chińczycy i negrzy zawiedli — wysiłek nie pójdzie na marne.

Pozostanie nam w zysku Warszawa podciągnięta, wyelegantowana, godna swojego tytułu stolicy.

Arch. Bohdan Pniewski — proj. kościoła Opatrzności



BRUNO WINAWER

POWRÓT DO NATURY

Jeszcze dość modne — stosunkowo — powieści mówią o hreczkosieju ogorzałym, który „zjeżdża" na karnawał do stolicy; jeszcze młodzi — stosunkowo — ludzie pamiętają, jak się resursa obywatelska trzęsła od tupotu nóg, wybijających hołubce, jeszcze scenarjusze filmowe opowiadają o lśniących, wabiących światłach wielkich miast. Jeszcze restaurator, dyrektor teatru, aktor wspominają świetne sezony zimowe...

Ale właściwie siedzimy wszyscy — poeci, wydawcy, pisarze dramatyczni — przed drzwiami naszych kramów i czekamy napróżno na klienta ze wsi. Nie przyjeżdża...

Przeciwnie nawet. Ledwie się ta ziemia — jak powiadają w romansach — szatą śnieżną okryje, jest ruch w mieście, ale na dworcu, tam gdzie stoją pociągi *odjeżdżające*. Nikt nie chce wycinać hołubców w resursie, wagony przepełnione są nartami, kijami, ludźmi we włóczkach i „plusfourach".

Publiczność mówi tylko o tem, gdzieby tu można o tej porze roku śnieg najgłębszy znaleźć, mieszczuch jest opalony bardziej od dawnego hreczkosieja, dyrektor teatru, literat, redaktor poczytnego dziennika, piosenkarz kabaretowy tarzają się na łonie natury, właśnie zimą, zjeżdżają po „holwegach", zaśnieżonych zboczach, torują drogi, bohaterską piersią rozbijają zaspy. Miasto straciło wszelki urok, a światełka płoną w zimowe wieczory tam, gdzieby ich się dawniej nikt nie spodziewał, na Głodówce pod Bukowiną, w Bukowinie pod Poroninem. Gdzieś za Bramką i gdzieś Ku Dziurze.

Ciekawe, że ten masowy powrót do natury odbywa się w naszych okrzyczanych czasach, w epoce maszyn, kabli, motorów... śpiewających drutów. Świat się zaroił od Robinsonów z Łodzi, wikingów z Ipsu, neandertalczyków z „Ziemiańskiej".

Ciekawe są też ewolucje owych „małpoludów" dobrowolnych. Przez pierwszy tydzień uciekają — jak tylu innych neo-mistyków i teoretyków — od postępu, od Edisona, od Marconiego, od konia parowego, mikrofonu, Kopernika, kilowata. Chcą patrzeć w czyste niebo, liczyć gwiazdy, mówić *wiśta* i *heta*. Chcą się tarzać i — tarzają się...

Ale już po tygodniu weselnych godów z naturą ten i ów Robinson spostrzega, że jego narta jest właściwie dość skomplikowanym przyrządem, że niektóre przepisy przy zjazdach, zakrętach, niektóre zakosy, podchody i „telemarki" trącą zlekka prawami mechaniki, że skocznia ma profil najwidoczniej obliczony i dobrze wykalkulowany, że cywilizacji nie można z siebie strząsnąć nawet pod Reglami.

Jeszcze wyraźniej się to zaznacza, kiedy który z domowych wikingów zwichnie albo złamie nogę (jest takich wypadków, niestety, ze trzysta na sezon) w Kuźnicach albo na Cyrli. Oczywiście wiemy, że już w wieku bronzowym dokonywano operacyj chirurgicznych.

Są ślady wymowne na starych kościach, na wykopanych czaszkach. Ale dziękujemy przeznaczeniu, że żyjemy jednak w trochę późniejszej epoce, że lekarz, dr. Nowotny, nie wali naoślep toporkiem z kamienia łupanego, ani gładzonego, że wziął, co trzeba, od Roentgena, Edisona, Faradaya i Listera.

W ostatnich czasach — jeżeli mnie wzrok nie omylił — jeszcze jedna giętka gałązka wiedzy (poza medycyną) trzyma nas mocno i nie puszcza w dalekie knieje i najdziksze ostępy: meteorologja. Tak jest, meteorologja, nauka o pogodzie.

W zeszłym roku jeszcze wyrocznią jedyną i instancją nieomylną był gazda przy saniach. Wiking warszawski patrzył niespokojnie w ogorzałą twarz małego góralczyka z Olczy i pytał: Jak tam jutro? Będzie słońce? Bo tak jakoś dmucha?...

Góral spluwał i mówił, jak Pytja w dawnej Grecji. Najczęściej jakieś słowa na samo *H*, np. Hano! Halny!

Dziś już spore gromadki stają na Krupówkach przed głośnikiem i słuchają nabożnie, co też p. Boceński z Radja mówi o sytuacji: „Szata śnieżna 56 centymetrów, ciśnienie... opady... wiatry... temperatura maksymalna... prognoza"...

Potem — dziwnym trafem — zamiast powtarzać, co powiedział baca, czy poczciwy juhas, zamiast patrzeć, czy się kurzy z Giewontu i czy księżyc ma lisią czapę, p. Robinsonowa Crusoe mówi dzisiaj rozsądnie:

„Przed chwilą miałam telefon od męża z Warszawy. Twierdzi, że będziemy mieli pogodę. Maximum się przesuwa, będzie słonecznie i mroźno. Tak mówią na giełdzie i tak piszą w gazetach".

Jest w tych krótkich zdaniach wdzięczny temat do dłuższych rozmyślań.

Nie, łaskawi panowie. Nie możemy już zrzucić skóry, nie możemy skakać po własnem drzewie genealogicznem, zamieniać się dowolnie w bandę jaskiniowców.

Cywilizacja trzyma nas mocno. Nawet przepowiednię pogody wyczytujemy nie z gwiazd, tylko z kartki na poczcie.

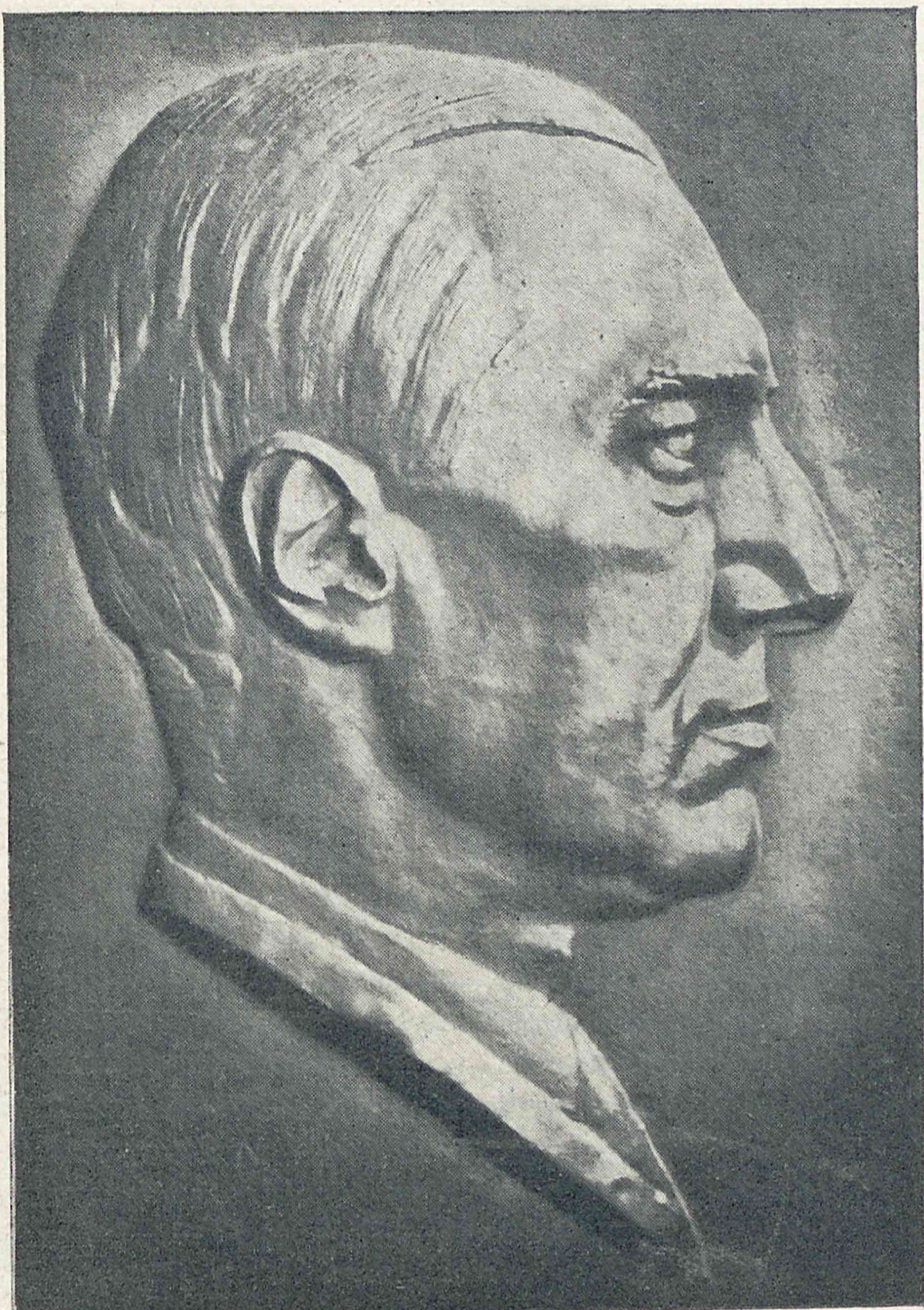
Niema powrotu. Człowiek współczesny bierze czasem krótki urlop, zdejmuje ciasny kołnierzyk, skacze w przeszłość, jak do basenu, ale... niema obawy, wypłynie! Gdzieżby się tam miał szwendać po epokach geologicznych.

Choćby chciał, nie może i choćby mógł, nie chce.



Honorowi gazdowie — poseł M. Dąbrowski i Kornel Makuszyński

Z WYSTAWY W I. P. S.



Magdalena Gross. Portret min. Becka. Płaskorzeźba (bronz)

(Fot. Koch)

Wielką salę Instytutu Propagandy Sztuki zajęła kolekcja pejzaży Zenona Kononowicza. Część ich reprodukował „Świat" w numerze poprzednim, przy artykule o Zułowie.

Pejzaże, dla których artysta przez szereg miesięcy przebywał w rodzinnym majątku Marszałka Piłsudskiego, odtwarzają z dużą dozą wrażliwości kolorystycznej wszystko to, co jeszcze tam pozostało z pamiątek po rodzinie Piłsudskich: stare zabudowania, kapliczkę rodzinną, krzyże przydrożne, kościołek parafjalny, wędzarnię, jezioro, w którem jako chłopiec Marszałek omal się nie utopił, sosnę jego ręką sadzoną i t. d.

Plon pracy Kononowicza — to 170 obrazów olejnych i temper, które poczęści jako szkice traktować należy, co im zresztą tylko dodaje uroku. Niema w nich wymęczonego nadmiaru szczegółów, jest natomiast wiele szczerego sentymentu, technika poprawna ze specjalną skłonnością do wydobywania harmonji barwnych (złoto-rude i szaro-błękitne).

Podziwiać trzeba wysiłek artysty, który podczas kilkomiesięcznego (jak głosi katalog) pobytu zgromadził tak wielką ilość prac. Malarze nasi naogół mniej czasu poświęcają malowaniu, znacznie więcej go trwonią na rozwiązywanie różnych artystycznych kwadratur koła. Znalazł się przecież artysta, który jest żywem zaprzeczeniem ubranego we frazesy nieróbstwa.

I to stanowi jeden z największych walorów jego wystawy.

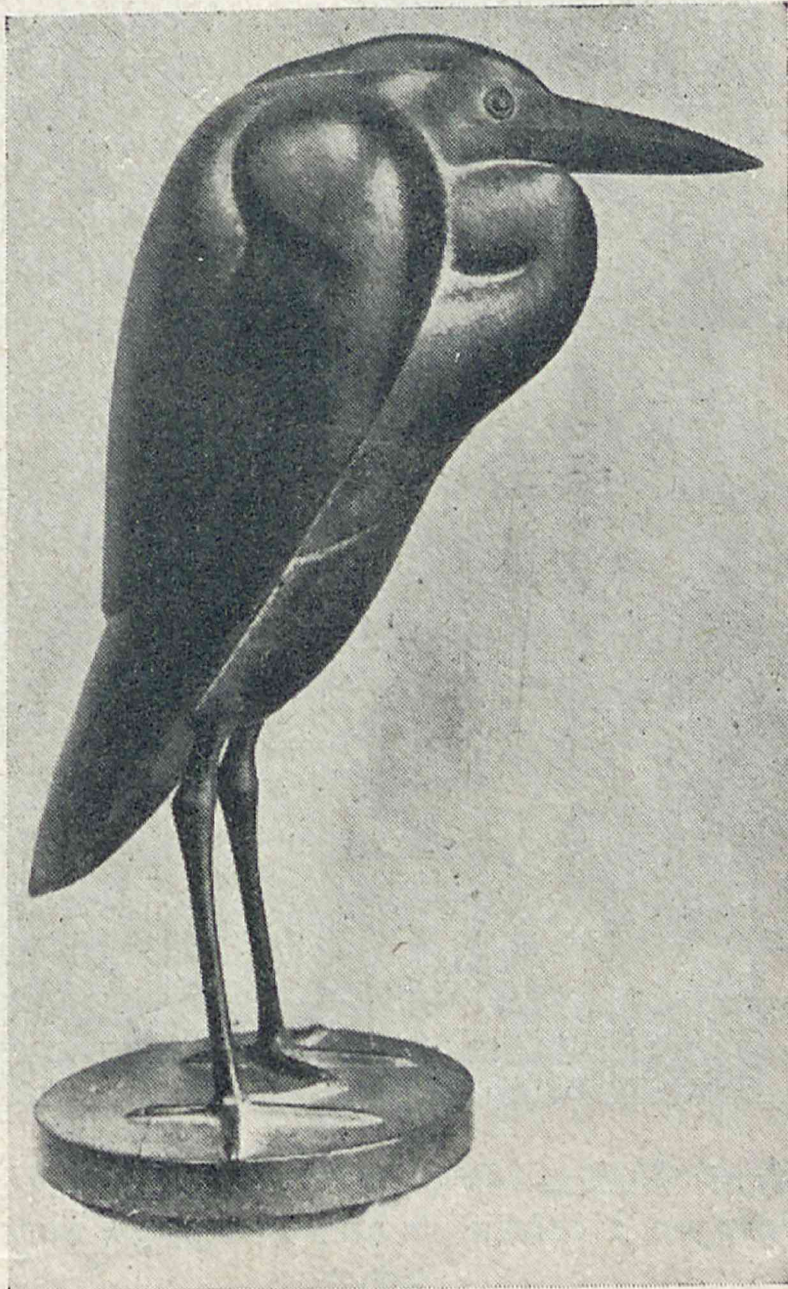
*

Rzeźby Magdaleny Gross — (kilkanaście bronzów) — to dorobek artystki dojrzałej, dla której techniczne opanowanie materjału nie ma już tajemnic.

W portrecie min. Becka artystka starała się wydobyć—i w znacznej mierze wydobyła — mocne zarysy portretowanej głowy. W trudnej technice płaskorzeźby, gdzie często giną zatarte i wyidealizowane rysy indywidualne modela, Magdalena Gross dała rzecz wyrazistą, ujętą po męsku, pełną charakteru.

Artystka ze specjalnem zamiłowaniem studjuje świat ptaków: kormorany, żórawie, gęsi, flamingi, bażanty traktuje wytwornie, z nadmierną może akademicką gładkością, — ale bardzo dekoracyjnie, z wybitnem poczuciem ruchu. Interesuje zwłaszcza finezyjny, zalotny bażant, i filozoficznie zadumana, wtulona we własne skrzydła czapla.

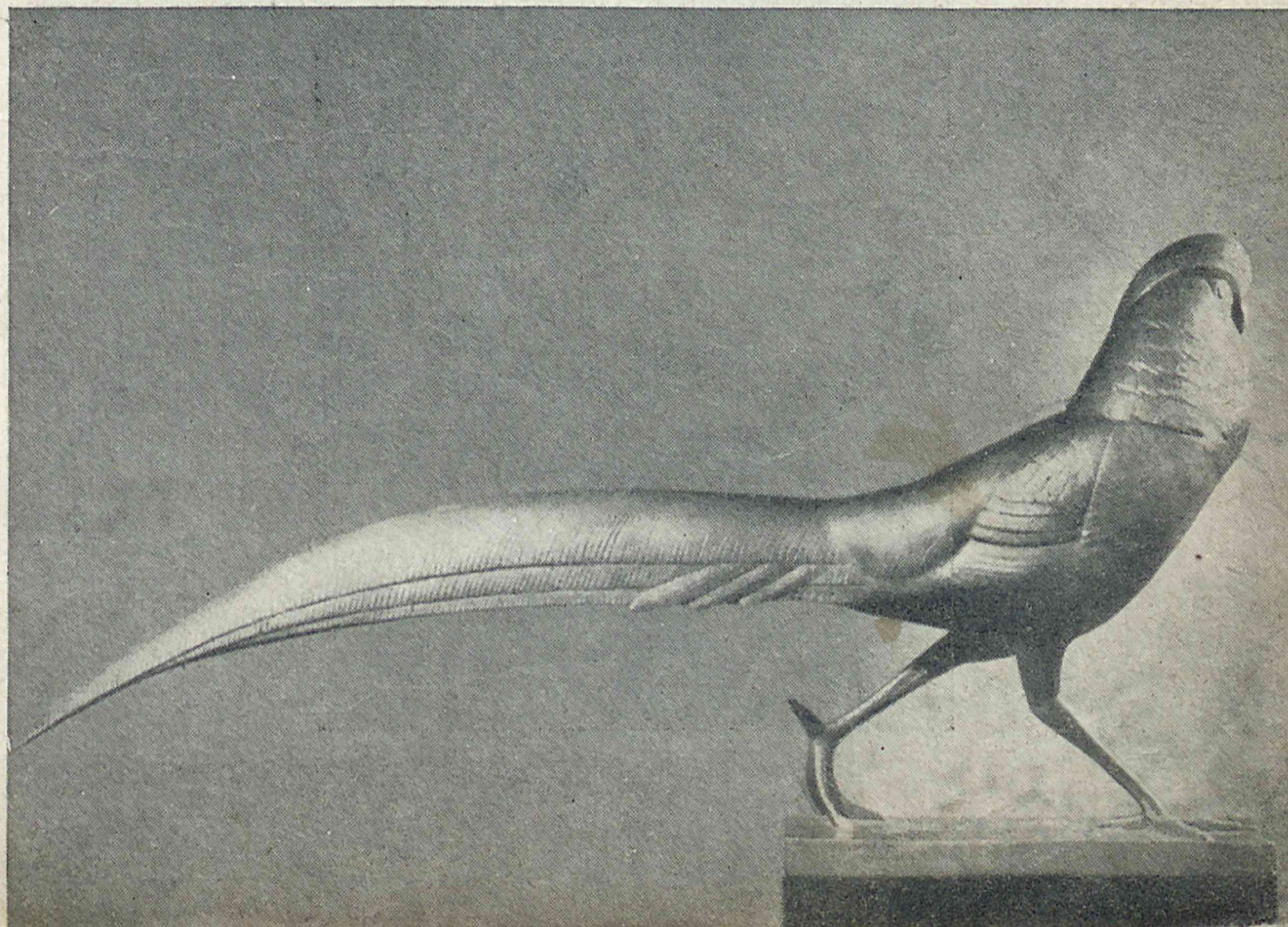
Z. Norblin-Chrzanowska



Magdalena Gross. Czapla (bronz)

(Fot. Koch)

Magdalena Gross. Złoty bażant (bronz)



ZBLISKA I ZDALEKA



Fot. J. Ryś

Niedziela palmowa

Jedną z pierwszych zapowiedzi wiosny w miastach są palmy Wielkanocne. Przedsionki kościelne zapełniają się w niedzielę palmową radosnym zapachem lasów. Liście borówek, gałązki wierzby i olchy splecione w polskie palmy — zwiastują światu nadchodzące Święta Odrodzenia, niosąc jednocześnie pierwsze zapowiedzi wiosny, słońca, radości.

EUGENJA ZIELIŃSKA, świetna cytrzystka, grała z powodzeniem w Radjo



Paradoksy życiowe

Kiedy w okresie zawieruchy wojennej zgładzono skrytobójczo złego ducha carskiej Rosji, ciemnego mnicha Rasputina, śledztwo sądowe, aczkolwiek narazie prowadzone niezwykle energicznie, utknęło w pewnym momencie i nie ruszyło dalej. Wyższe protekcje wzięły w opiekę zabójcę, którego nazwisko było na ustach wszystkich. Piękny, bogaty, utytułowany, młody efeb, książę Jussupow, zamordował własnoręcznie z powodów ideowych straszliwego starca, który był według niego szkodnikiem państwowym.

Kara nie spotkała wówczas młodego ideowca. Kara go minęła cudem. Nagrody doczekał się zaś... dzisiaj, po latach prawie dwudziestu.

I to — o ironjo — nagrody pieniężnej!

Pewne amerykańskie konsorcjum filmowe w poszukiwaniu tematu sensacyjnego wpadło na pomysł nakręcenia filmu o życiu i śmierci Rasputina. W akcję wplątano kobietę, która odgrywała w niej rolę kochanki starego cudotwórcy. W postaci tej poznała siebie żona księcia Jussupowa, uczuła się obrażona podobną insynuacją — i wytoczyła amerykanom proces o zniesławienie.

A że rzecz działa się w Anglji, kraju tradycyjnej gentelmenerji wobec dam, w kraju, gdzie tytuł „Wielkiej Księżnej" i kuzynki cara budzi cześć niemal bałwochwalczą — przeto sąd uznał, że księżna słusznie dochodzi swych praw za obelgę, i skazał amerykańskie konsorcjum — na bagatelkę... 25 tysięcy funtów kary, jako odszkodowanie, które się tak wysoko urodzonej osobie należy.

Jussupow z żoną żyli ostatnio w Londynie, w ostatecznej nędzy. Paradoksalny zbieg okoliczności zesłał im jak z nieba majątek. Gdyby dwadzieścia lat temu nie było morderstwa, dzisiaj nie byłoby pieniędzy.

Nic w naturze nie ginie...

ECHA KARNAWAŁU



Pani Halina Brensztjern-Pfanhauser na jednym z ostatnich bali ubiegłego karnawału



Morderca Rasputina ks. Jussupow z żoną

Fot. Keystone

Świat książki

Bruno Winawer — *„Śpiew drutów"*. Wyd. Przeworskiego.

Dobrze się stało, że świetny feljetonista i popularyzator wiedzy, a zarazem ulubiony prelegent radjowy, Bruno Winawer, zebrał i wydał część swych tygodniowych pogadanek dla młodzieży, w których zdaje sprawę młodym — i starszym — słuchaczom z tego, „Co się dzieje na świecie".

Dobrze się stało dlatego, że ujęcie biegu zjawisk przez Winawera różni się zasadniczo od tego, czem nas codzień karmią gazety: rzeczywistość widzi on zupełnie swoiście, nie od strony napadów bandyckich, szantaży, morderstw rabunkowych, włamań, wiarołomstw, porywania dzieci, szwindli bankowych, przekupstw politycznych, moralnego i fizycznego gruchotania kości bliźniemu, etc.

Pogawędka Winawera — to nabój skoncentrowanego optymizmu. Myśliciel, fizyk, wytworny pisarz, moralista w najlepszem znaczeniu tego słowa — chce swym młodym słuchaczom dawać — i daje — tylko takie wiadomości, które im ukazują piękne wysiłki umysłu i charakteru człowieka. Feljetony jego są krzepiącą esencją ludzkich prób, osiągnięć i bohaterstw, esencją, z której bije wiara w człowieka, w nieograniczone możliwości jego genjuszu i woli.

Wysiłek *umysłu* podkreśla Winawer zawsze narówni z wysiłkiem *charakteru*. O lotniku Matternie, zdając relację z niesłychanych przeszkód, jakie napotykał w swej podróży naokoło świata, mówi: „Nie pobije on może rekordu, ale powinien zdobyć nasze sympatje, jak każdy wytrwały, dzielny człowiek, samotnie walczący z przeciwnościami losu". Młoda tenisistka angielska, miss Peggy podoba się temu dziwnemu pisarzowi, uważanemu ogólnie niewiadomo dlaczego za zimnego mózgowca. Podoba mu się, bo o własnych siłach, bez niczyjej pomocy, zacisnąwszy zęby, wzięła udział w konkursie międzynarodowym, broniąc barw swego kraju — i wygrała.

Nawet kiedy wielka lotnicza wyprawa podbiegunowa nie powiodła się i zmuszona była wracać z powodu trudności niemożliwych do przezwyciężenia, Winawer dodaje na końcu: „Widać te nieuniknione klęski nie zniechęcają jednak śmiałków... W hangarach amerykańskich stoi już gotowy do odlotu smukły, piękny ptak metalowy najnowszej konstrukcji".

Mimochodem podaje Winawer swym czytelnikom wiadomości o ostatnich wynalazkach, które jakżeż rozpalać muszą wyobraźnię młodych umysłów: „Możemy sobie wyjechać na wieś i stamtąd pisać na maszynie, która została w domu, w zamkniętym pokoju".

Ten myśliciel się poprostu upiera, żeby w człowieku widzieć — człowieka...

Notuje więc skwapliwie: „Depesza podana w Ameryce wzdłuż linji kolejowej do wszystkich zawiadowców stacyj: „Uwaga! na osi wozu 403102 drozdy uwiły sobie gniazdo — samica siedzi na jajach — wystarać się o pożywienie. Przesłać dalej!"

„Kolejarze to dobrzy ludzie" — komentuje przytem krótko.

Najgoręcej może książkę Winawera należałoby polecać młodzieży, jako zbiór rzeczy ciekawych *dokonanych* — a tylko takie młodzież uznaje — dokonanych dzisiaj, przez ludzi dzisiejszych, których twarze i nazwiska znamy, — a których wysiłki i czyny skierują młode umysły w rejony nieco inne, niż „Autobiografje przestępcy", lub „Wyczyny tajnego detektywa".

Książkę wydano starannie. Levitt-Him zaprojektował doskonałą okładkę, bardzo współczesną w swej prostocie, pociągającą kolorystycznie i związaną myślowo z zawartością książki.

Z. N. Ch.

Jadwiga Roguska - Cybulska. — „Tajemnica Tatr". Wyd. Księgarni Św. Wojciecha.

Książek dla młodzieży wychodzi dużo, a jednak jest ich ciągle zamało. Młodzież czyta więcej od dorosłych, wybór ma zaś nierównie mniejszy: literatura dla młodzieży istnieje przecież dopiero od kilkudziesięciu lat, a większość jej dorobku dewaluuje się jeszcze prędzej od literatury dla dorosłych.

Przytem dzieci dojrzewają coraz szybciej i mają coraz większe wymagania zarówno umysłowe, jak estetyczne: nie można ich zadowolić byle czem. Dlatego też dobra książka dla młodzieży — to prawdziwa ulga dla rodziców i wychowawców. Przynajmniej wiadomo, czem będzie można na pewien czas zaspokoić ciekawość Jasia i Hani.

Pod tym względem napewno pożyteczną okaże się powieść Jadwigi Roguskiej-Cybulskiej p. t. „Tajemnica Tatr", wydana nakładem księg. Św. Wojciecha, a poprzedzona interesującą przedmową W. Goetla.

Dzieciaki niełatwo dadzą się od niej oderwać, bo opowiada ona o ciekawych i tajemniczych przygodach zbłąkanych turystów. Że przy sposobności dowiedzieć się można wiele o zasadach taternictwa, a więc o tem, jak chodzić po górach, jak się orjentować w krajobrazie, jak się odżywiać na wycieczce, jak szukać ratunku w nieszczęśliwych wypadkach, to już zasługa i zręczność autorki. Dla dzieci, które były w Tatrach, atrakcją będzie też opis najważniejszych szlaków górskich, wprawdzie trochę suchy, ale wierny i nieprzeciążający akcji.

Autorka, miłośniczka Tatr i jedna z pionierek w ich zdobywaniu, chce swą powieścią zachęcić młodzież do turystyki, wzbudzić w niej miłość gór. W dobie, gdy toczy się walka o ochronę piękności Tatr i zarezerwowanie jej tylko dla tych, którzy gotowi są oglądać ją za cenę trudów i niewygód — powieść Roguskiej-Cybulskiej jest specjalnie aktualna.

Szkoda tylko, że autorka, chcąc uprzytomnić dzieciom niebezpieczeństwa lekkomyślnie traktowanej turystyki, nagromadziła w swem opowiadaniu tyle strasznych przygód i trupów, że wbrew intencji książki niejeden młody a wrażliwy czytelnik może właśnie... zrazić się raz na zawsze do górskich wycieczek.

(S. K. B.)



Artyści mówią o sobie

Ankieta „Świata"

(W poprzednich numerach „Świata" zabierali głos w ankiecie: W. Jastrzębowski, H. Kuna, T. Pruszkowski, W. Skoczylas, J. Tom, E. Wittig, J. Cybis, J. Czapski i T. Czyżewski)

H. Stażewski. Obraz abstrakcyjny

HENRYK STAŻEWSKI

Z okna pracowni p. Henryka Stażewskiego roztacza się cudowny widok na Plac Zamkowy; królowi Zygmuntowi można z łatwością podać rękę. — Na ścianach pracowni wiszą obrazy abstrakcyjne, przyciągające oko widza.

„W mych pracach dążę zasadniczo do spokoju, statyki i równowagi, mówi pan Stażewski. Poza obrazami abstrakcyjnemi robię obecnie rysunki barwne w charakterze zmodernizowanego baroku, które mam zamiar wystawić w kawiarni IPS-u. Niech się tylko moi przyjaciele zawczasu nie cieszą, bo nie mam zamiaru porzucać malarstwa abstrakcyjnego. Te wszystkie rzeczy traktuję jako wypoczynek".

— Czy zadowolony jest pan ze swych warunków pracy?

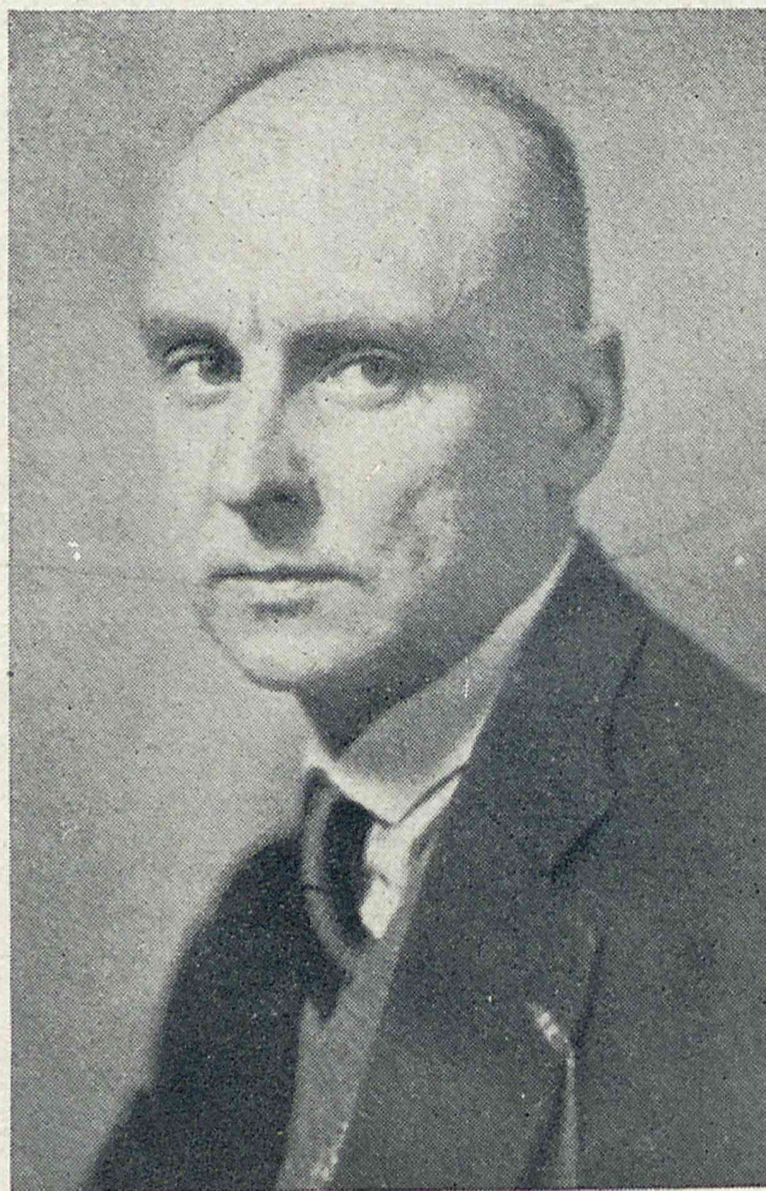
„Nie mam niestety idealnych. Prócz pieniędzy brak mi muzeów i wyjazdów za granicę. Kontakt z zagranicą — z naciskiem podkreśla p. Stażewski — jest niezbędny dla rozwoju polskiego malarstwa. Rząd powinien wysyłać jak największą ilość malarzy i uczniów, ażeby sztuka polska mogła stanąć na poziomie europejskim".

— Czy pomocne są w tem zrzeszenia i grupy?

„Kwestja grup ma dobre i złe strony. Istnieją grupy niezwiązane żadną wspólną ideologją, i te są szkodliwe. Grupy ideowe powinny mieć za cel wspólne rozwiązywanie trudnych zagadnień plastycznych. Niebezpieczeństwem dla nich jest zasklepianie się tylko we własnych poglądach i bronienie się przed zewnętrznemi wpływami, podczas gdy wzajemne oddziaływanie grup na siebie uważam za ze wszech miar wskazane. W każdej z grup można odnaleść wartościowe jednostki i wartościowe założenia".

Przechodzimy do zagadnień teoretycznych, które p. Stażewskiego bardzo żywo interesują.

„Treść i forma, to dla mnie nierozerwalną całość. — Sztuka dzisiejsza dąży do równowagi tych dwóch czynników, za treść nie trzeba jednak uważać tylko tematu lub motywu. Obrazy moje aczkolwiek abstrakcyjne — pełne są treści. Treścią ich jest rezultat obserwacji świata zewnętrznego. Podniętą malarską dla mnie jest urbanistyka, dynamika ruchu wielkiego miasta, maszyna, moda. — Jest to nowa treść, która najbardziej odpowiada nowoczesnemu człowiekowi".



Henryk Stażewski

— Często słyszę uwagi, że obrazy modernistów nie podobają się, bo nie budzą w widzu stanów uczuciowych.

„Ludzie, którzy tak mówią, chcą szukać wzruszeń analogicznych do tych, jakie daje natura. — Sztuka abstrakcyjna natomiast powoduje wzruszenia plastyczne, odciążone od balastu lirycznego. Ja mam takie nastawienie na formę, że nie widzę, co na obrazie jest namalowane. Obraz abstrakcyjny we współczesnem wnętrzu bez porównania lepiej spełnia swą rolę od dawnych".

— Co pan sądzi o kryzysie w sztuce?

„W sztuce kryzysu niema. Odwrotnie: kryzys społeczno-ekonomiczny powoduje zwiększoną intensywność poszukiwań w sztuce, powstają coraz to nowe kierunki".

— Czy pewne działy sztuki mają według pana specjalną przyszłość?

„Ta sprawa wiąże się z tem, że odbiorcą głównym musi stać się państwo, które potrzebuje przedewszystkiem sztuki utylitarnej: mebli, dekoracyjnych wnętrz, malarstwa freskowego, grafiki reklamowej. Jednakże i dla obrazów będzie ogromne zapotrzebowanie".

— Co sądzi pan o sztuce polskiej?

„Sztukę polską uważam za nieporozumienie. Najpopularniejsi w Polsce są artyści, którzy w malarstwie wyrażają sentymentalną, patrjotyczną nutę, sentyment polskiego krajobrazu i ludowości. Do takich artystów należą Matejko, Wyspiański, Chełmoński, Malczewski; istnieją jednakże inni, mniej popularni, którzy są prawdziwymi plastykami: Michałowski, Rodakowski, Kotsis, Gierymski. Ci malarze mieli bliski kontakt ze sztuką europejską, najintensywniej rozwijali się przebywając zagranicą. Przeniesieni na grunt polski, systematycznie obniżali swój poziom artystyczny".

O krytyce wyraża się p. Stażewski bezapelacyjnie, choć spokojnie: „Krytyki w Polsce niema. Brak muzeów i kontaktu z zagranicą powoduje, że piszący krytyki nie mają skali porównawczej. — Brak chęci porozumienia z artystą i zapoznania się z rzemiosłem wytwarza zupełne niezrozumienie założeń malarskich. Nie czytałem ani jednej krytyki, w której byłaby rzeczowa analiza formalna jakiegokolwiek obrazu. Próby takiej analizy robiła Stefanja Zahorska, która obecnie przestała zajmować się krytyką plastyczną".

W. Wąsowicz. „14 lipca" (olej.)





Wacław Wąsowicz

WACŁAW WĄSOWICZ

Znając już zwyczaj artystów, nie dziwię się, że i w pracowni p. Wacława Wąsowicza obrazy stoją odwrócone. Po chwili jednak pokój zaludnia się: wieśniak prowadzi wołu na targ, kosiarze odpoczywają po pracy, robotnicy siedzą za stolikiem. — Prości ludzie, prosta forma, pełna charakteru i mocy.

— Czy posiada pan odpowiednie warunki pracy? — zapytuję.

„Dwu rzeczy mi przedewszystkiem brak — muzeów i pieniędzy. Ci, którzy nie oglądali europejskich zbiorów, nie wiedzą wogóle, co to sztuka. Ci, którzy je znają, ale nie mogą wyjechać, by skorygować swe wrażenia, w miarę posuwania się naprzód załamują się. Jedyne co chronić może od depresji, to pójście np. do Louvru, zachwycenie się wielką sztuką. Przygotowuję teraz wystawę na kwiecień, rezultat szeregu lat pracy. Nie mam nadziei, że coś sprzedam, że zyskam jakieś uznanie, — Artysta to przecież w odczuciu większości ludzi darmozjad. Kontakt z zagranicą jest konieczny, ale nie należy wysyłać niedojrzałych artystów, którzy łapią rzeczy najłatwiejsze a powierzchowne. Wolę domorosłego malarza, niż smarkacza niedowarzonego, zachwalającego tanie nowinki".

— Czy wielką rolę przypisuje pan studjom w szkole?

„Malarstwo, to taki sam fach, jak inżynierja. — Studja wieloletnie są niezbędne. — Dziś już upadło hasło, że artysta może być głupi, aby tylko był zdolny. Trzeba w młodym malarzu wyrabiać poważny stosunek do życia i sztuki, nie pozwalać na płytkie efekciki, na zewnętrzne modernizmy. — Często słyszy się zdanie, że niewiele trzeba umieć, aby być modernistą, tymczasem owe modernistyczne uproszczenia przychodzą po latach samodzielnej pracy".

— W jaki sposób pan pracuje?

„Długo i trudno — odpowiada p. Wąsowicz. — Obraz dobry nie może być szybko namalowany, farba nie może odrazu mieć szlachetnego tonu. Pracuję stale od rana do 2-giej. Staram się moje życie usystematyzować pod każdym względem, jestem wrogiem przypadkowości. Wypoczywam najlepiej na wsi. Lubię patrzeć na baby, na chłopów, obcować z nimi, wżywać się w ich życie. Trzeba wejść w życie pomiędzy ludzi, a wynajdzie się tam wiele harmonji, organicznego złączenia z bytowaniem. Jaka to wspaniała harmonja: człowiek, krowa, płot, ziemia. A jaka śmieszna: pan idący w cylindrze po ulicy..."

— Czy sztuka powinna być użytkowa?

„Jest to sprawa trudna. Jeżeli na swój użytek będzie zamawiało państwo, to powinno się wytworzyć taką atmosferę, żeby artysta mógł pracować szczerze. Gdy zniknie szczerość, a nastąpi przymus — obniży się poziom sztuki. Rafael, tworząc swe freski, zachwycające współczesnych, był w zupełnej zgodzie ze sobą. Sztuka nie jest rzeczą ładną, to wreszcie wszyscy muszą zrozumieć — może być brzydka, może być irytująca — to zabójstwo dla sztuki powiedzenie, że ona jest *ładna*."

— Czy jest pan zdania, że w sztuce istnieje kryzys?

„Jest niebywały chaos! Malarstwo zostało zanadto zindywidualizowane i to jest dowodem pewnego rodzaju dekadencji. Brak jakiegoś ogólnego prądu, brak ogólnego entuzjazmu. Nawet kubizm zatoczył szerokie koła, a dzisiejsze pokolenie nie umie wykorzystać jego zdobyczy i pójść dalej."

— Czy sztuka posiada zdaniem pana znaczenie wychowawcze?

„Wierzę — z zapałem mówi artysta, — że ludzie będą szlachetniejsi, lepsi, gdy będą widzieć koło siebie pełno form pięknych. Ludzi trzeba dopiero nauczyć spostrzegania proporcji, harmonji, trzeba przekonać, że im prostsza forma, tem trudniejsza i mocniejsza w wyrazie. Chodzi mi o to, aby jaknajszersze masy poruszyć. — Jestem wogóle przeciwnikiem nabywania obrazów przez prywatne jednostki. Obrazy powinny być bardzo drogie, a miejsca dla nich odpowiednie — to muzea. Niech obraz mój będzie własnością wszystkich. Obraz to nie dekoracja, nie potrzebuje się wiązać ze ścianą. To jest największa twórczość w dziedzinie plastyki. Z dawnej Sztuki rewelacją dla mnie był Rembrandt i Teniers. Z nowoczesnych artystów odpowiada mi Rouault i Cezanne. Co do sztuki narodowej, to jestem przeciwny wszelkim z góry powziętym programom. Sztuka narodowa będzie dobra, o ile się sama wytworzy; nie można jej w każdym razie opierać na Łowiczu i Kazimierzu. Polak zawsze będzie się wyróżniał."

— Czy dobrze według pana spełniają swą rolę krytycy?

„Zupełnie źle, niedość poważnie traktują sztukę, za mało są fachowcami".

KAMIL WITKOWSKI

Rozmowa z p. Kamilem Witkowskim pełna jest żywych akcentów, stanowczych i bezkompromisowych podkreśleń — tak jak wyraźne w dążeniach plastycznych, mocno wrażające się w pamięć są jego obrazy. Jako sprawa paląca wysuwa się na samym wstępie sprawa sztuki narodowej. Okropnie gniewa artystę, jak mówi, to „robienie polskiej sztuki, ci wszyscy ułani z Zachęty, obrazy z historji, te ciągłe, nudne kapliczki przydrożne, ten skażony barok, który ma być wyrazem polskiej sztuki".

„Obniżyć poziom, iść na rękę masom, wyobrażać sobie, że tą drogą tylko można wzbudzić zainteresowanie — to znaczy położyć sztukę raz na zawsze. Tylko sztuka nieoficjalna, nieuznawana może dać i zawsze dawała rezultaty, a nie akademje, które swój program lansują, nadprodukując artystów niedociągniętych."

— Więc nie jest pan zwolennikiem szkoły dla młodzieży artystycznej?

„Ważność szkoły — to tylko sprzyjające środowisko. Profesorowie rzadko czego umieją nauczyć".

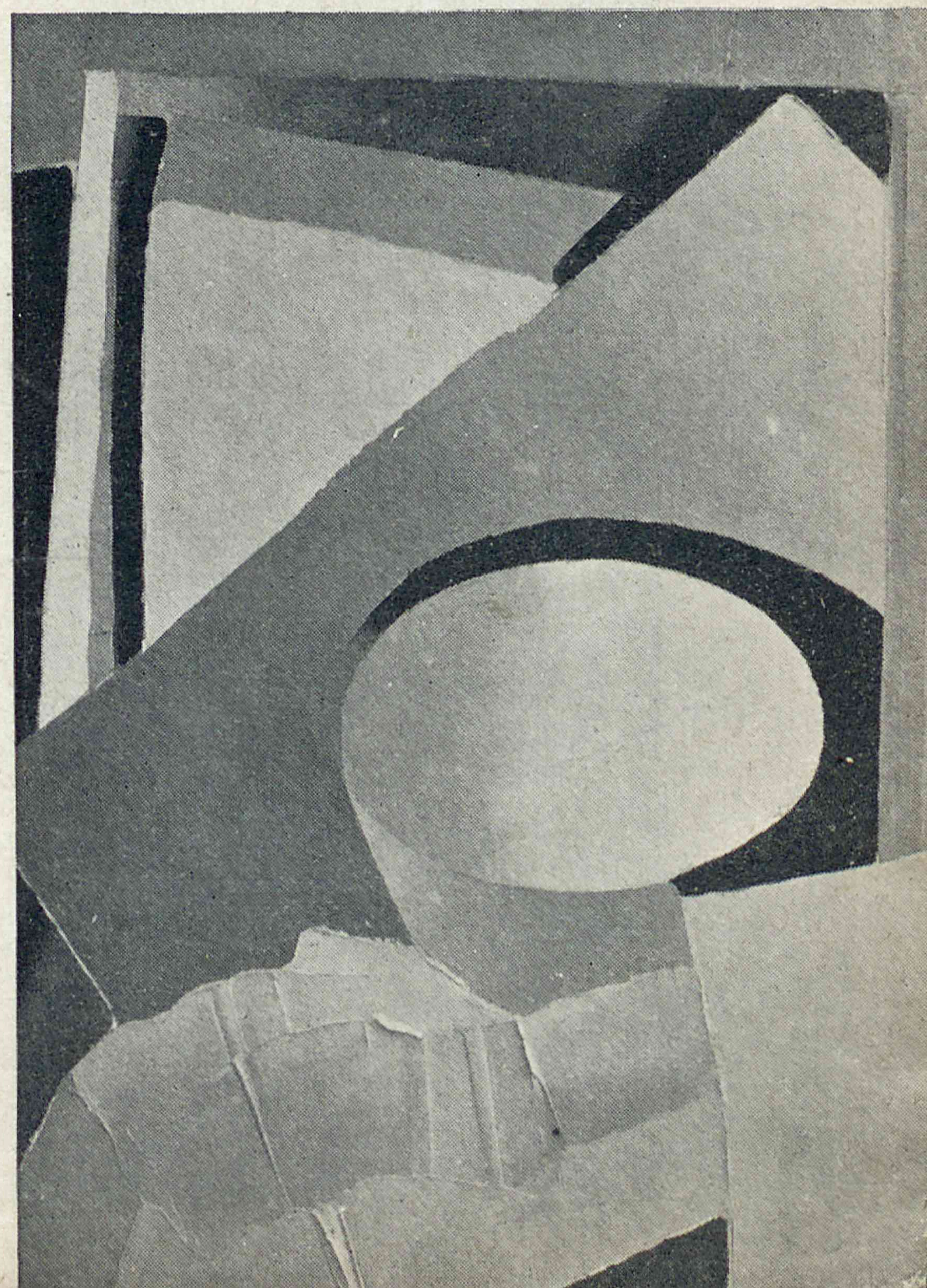
— Czy może mi pan powiedzieć, nad czem pan obecnie pracuje?

„Temat to dla mnie drugorzędna rzecz. Maluję jak zawsze martwe natury, które mnie interesują, bo umożliwiają wszelkiego rodzaju eksperymenty. — Tak na pewnego robić, to nudne, nieinteresujące — odpowiada p. Witkowski. — Prócz tego maluję od dłuższego czasu duży akt i autoportret, który wykonywam zawsze kilka razy do roku".

— A w jaki sposób pan pracuje?

„Moja praca jest ciężka, nawet fizycznie ciężka. Nie używam pendzli, tylko nożami się posługuję, aż czasem skóra na ręku pęka od nadmiernego wysiłku. — Nie

K. Witkowski. Martwa natura (Fot. Janczewska)



uznaję żadnych przemalowań, żadnych poprawek: gdy jakaś płaszczyzna kolorowa mi nie wychodzi, gdy nie jest dość czysta, zakładam ją na nowo, zeskrobując poprzednią. Gdy zacznę obraz, to nie mogę go odstawić, dopóki nie skończę, pracuję wtedy bez wytchnienia, dziesięć, czternaście godzin na dobę, nie piję, a nawet minimalnie jadam."

— Skąd czerpie pan swe tematy?

„Z modela nigdy bezpośrednio nie pracuję. Każdy przedmiot oglądam ze wszystkich stron i dopiero potem maluję z pamięci, oświetlając go i zabarwiając tak, jak wydaje mi się to kompozycyjnie dobre i potrzebne. Elementy natury muszą być odpowiednio ułożone, zrytmizowane i kojarzone, aby wywołały wrażenie. Artysta, który, by namalować martwą naturę, musi koniecznie zawiesić jakąś draperyjkę i ustawić wazonik, zamknięty w jednym pokoju bez mebli, będzie nieszczęśliwy, bo nie będzie miał co malować. A ja, — nawet zamknięty w czterech ścianach kryminału, potrafiłbym malować! Zresztą muszę dodać, że każdy temat jest dobry, nawet portret w uniformie z orderami można kapitalnie namalować. — Tylko nie chciejmy wyświetlać historji za pomocą malarstwa, bo to absurd. Obraz powinien mieć swą wymowę własną, nie historyczną, nie obyczajową. Niech literatura za niego nie gada."

— Po okresie wytężonej pracy gdzie najlepiej pan wypoczywa?

„Najlepszy dla mnie wypoczynek to wędkarstwo. Ogromnie lubię godzinami łowić ryby."

— Co pan sądzi o braku kontaktu z zagranicą?

„Wyjazdy są pożyteczne, bo uczą artystów techniki malarskiej, której im bardzo brak. Aby podnieść kulturę artystyczną, tak wiele nie potrzeba: niech będą w naszych muzeach zilustrowane 3 wieki wstecz i współczesność, to wystarczy. Poco koniecznie aż Louvre, kiedy od tego głowa boli."



Kamil Witkowski

Kryzys w sztuce według p. Witkowskiego istnieje, we Francji bodaj najwyraźniej: widać załamanie, zachwianie dobrego smaku, co w dużej mierze spowodowali kunsthendlerzy, sprzedając dzieła niewartościowe.

— Czy kryzys dotyczy specjalnie malarstwa sztalugowego?

„Malarstwo sztalugowe jest i będzie zawsze przodujące: cała sztuka stosowana nowoczesna zawdzięcza mu bardzo wiele, wyszła bowiem od kubizmu. Kryzys ekonomiczny w sztuce, to wynik małego zainteresowania społeczeństwa. Podziwiam ludzi, nawet tych z cenzusem naukowym, którzy najspokojniej mówią, że się na malarstwie nie znają, i nic nie robią, aby się z niem poznać. Dlaczego ja, malarz, wiem coś o bakterjologji, wiem o prądach panujących w obecnej filozofji? A już z tymi filozofami to najgorzej; niema chyba ludzi mniej umiejących plastycznie myśleć, jak oni. Z inżynierami już prędzej można się dogadać i pokłócić."

O modernizmie mówi p. Witkowski:

„Modernizm to wszystkie nowe poszukiwania, wszystko, co przyszło *po impresjonizmie*. Nie mogę tego pojąć, jak ludzie oswoili się z modą, która tak szybko, a tak bajecznie słusznie przeskoczyła od krynolin do idealnej prostoty, a nie mogą się pogodzić z nową sztuką. Dziadek był impresjonistą, ojciec też, to i ja mam nim być? — Nie chcę — i co mi zrobią?"

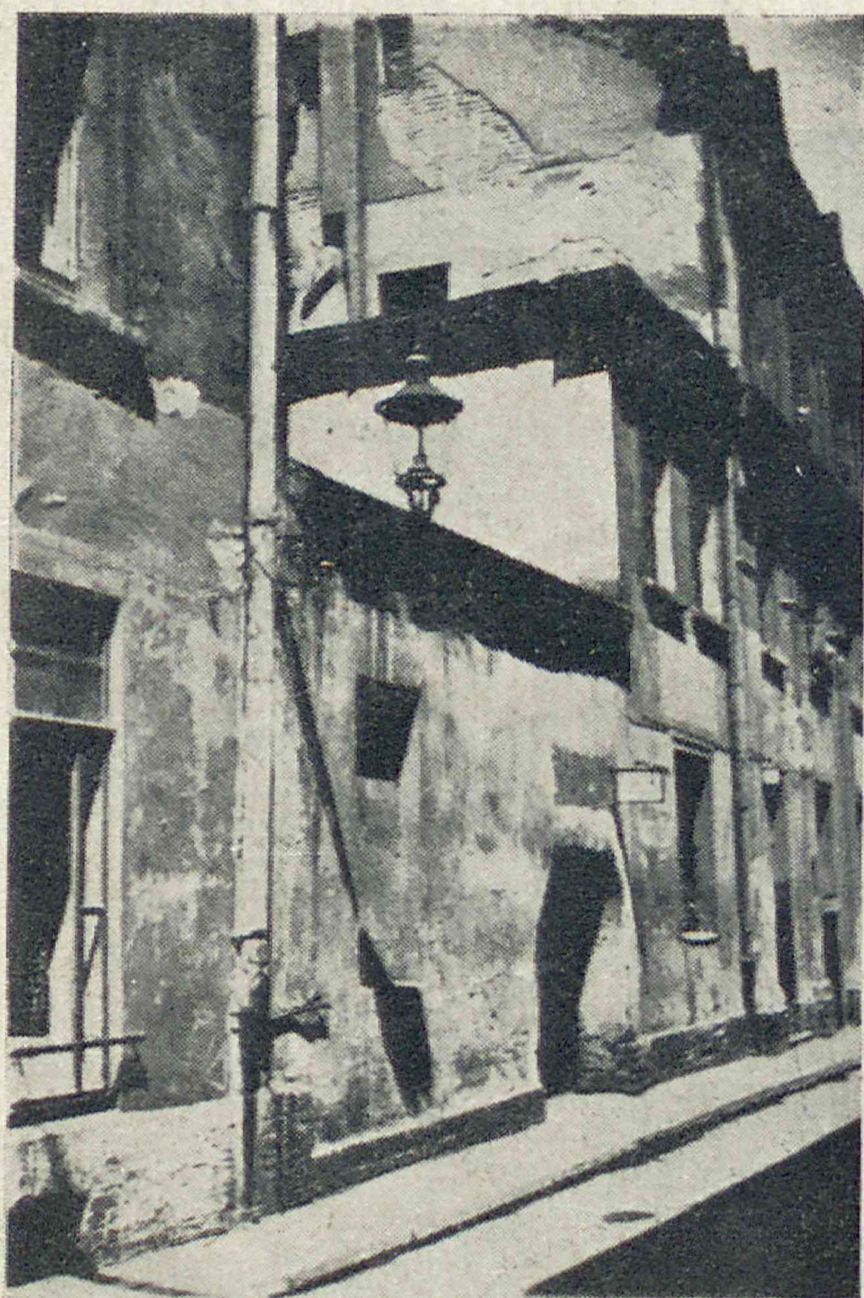
— Jakich artystów najlepiej pan lubi?

„Cézanne'a i Van Gogh'a, a u nas zapomnianego Rodakowskiego i Michałowskiego".

— Jakie jest pana zdanie o krytyce?

„Krytycy spełnialiby obowiązki swe doskonale, gdyby działali samodzielnie, a nie w zależności od różnorakich wpływów. Brak im pozatem wiedzy fachowej, nikt nie pisze o formie, o barwie i t. d. Krytyk sztuki to musi być człowiek głęboko i wszechstronnie wykształcony. Może nim być historyk sztuki, ale nigdy malarz, który wszystkichby zwymyślał, uznał za dobrych tylko najwyżej 3-ch artystów, a w tej liczbie siebie".

J. Puciata-Pawłowska



Ul. Ślusarska w Poznaniu

AKORDY WIOSENNE

(Korespondencja własna z Poznania)

Odzywają się już pierwsze akordy preludyj wiosennych. Gdzieś na uliczce Ślusarskiej, na Chwaliszewie, w zakamarkach Górczyna czy Wildy widać „wiarę" bawiącą się w guziki pod rozjaśnionemi słońcem staremi ścianami, a z maleńkiego okienka czerwonej „fachówki" wygląda siwobrody grajek, medytując nad tem, czy można już z harmonijką zasiąść na murku przed gmachem Opery... Niebostan jest zawsze jeszcze niewyraźny, ale Poznaniowi na gwałt chce się wiosny. W jej zastępstwie przyjechała na razie Cieszkowska z Warszawy i święci tryumfy w niebardzo tołstojowskiem Zmartwychwstaniu w Teatrze Nowym. Teatr Polski hołduje wciąż jeszcze nastrojom zimowym, poszukując „czwartego do bridża", a ściągając z tej racji gromady kibiców na widownię.

W pełnym rozmachu twórczym znajduje się Radjo Poznańskie, które mimo swej reorganizacji, przyjętej przez społeczeństwo tutejsze ze zmarszczką na czole, nie wyzbyło się bynajmniej regjonalnych ambicyj i w osobie swego kierownika literackiego, dr. Zenona Kosidowskiego, gromadzi dokoła megafonu miejscowe talenty, ambicje, inspiracje, skromności i megalomanje, chcąc z tego aljaszu

ulać stop radjofoniczny najlepszej marki. Odbyły się więc różne poufne zebranka i uroczyste narady, w rezultacie których Radjo Poznańskie zacznie występować ze stałym programem regjonalnym w formie słuchowisk i zbiorowych audycyj.

Bardzo korzystną chwilę przeżywa plastyka poznańska. Uwaga społeczeństwa wielkopolskiego poruszona jest wartościową i urozmaiconą wystawą w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych. Z gości wystawiają grafikę: Zofja Stankiewiczówna, Snuk-Koskowska, Mińska-Golińska, Wolska-Berezowska, Gaczyński, z miejscowych artysta-rzeźbiarz Władysław Marcinkowski i obecnie także „miejscowy", bo mieszkający w Poznaniu, Leon Wyczółkowski.

Wystawa cieszy się ogromną frekwencją. Publiczność z respektem ogląda królewskie postaci Batorego, Chrobrego, Jadwigi dłuta Marcinkowskiego, oraz jego mniejsze prace doskonale modelowane i pełne ekspresji, z pełną satysfakcją zatrzymuje się przed grafiką Stankiewiczówny, dobrze znanej Poznaniowi, interesuje się szczerze ciekawemi pracami graficznemi innych artystów, a potem, w końcowej sali odprawia maleńkie rekolekcje z „Wyczółem".

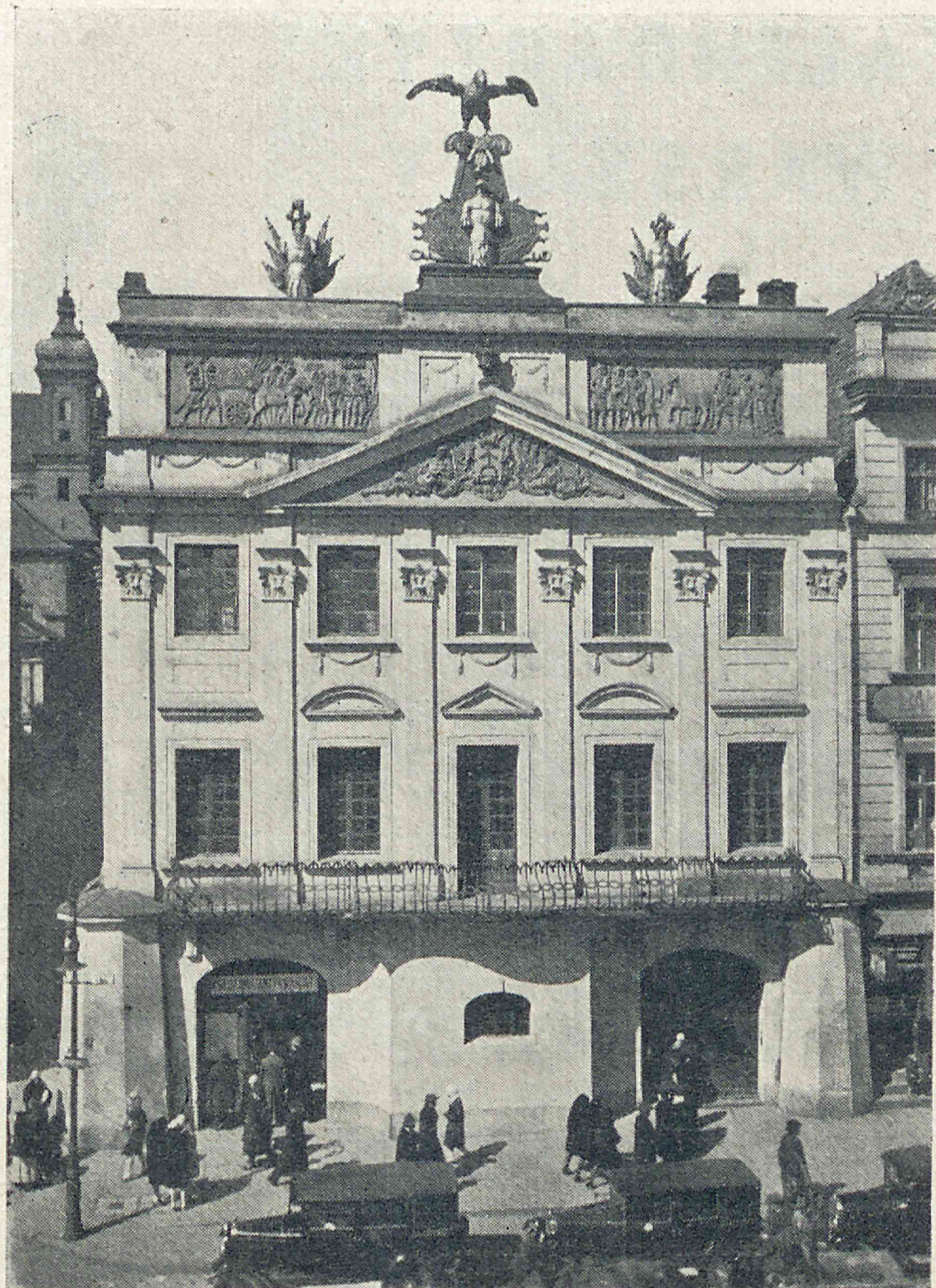
W IKS'ie wystawy zmieniają się częściej. Ostatnio gościli tam Polański i Tomkowicz, wystawiał Czyżewski i Lam. Do ożywienia życia gromadzących się dokoła IKS'a, a więc w kawiarni pod Kaktusem artystów przyczyniają się walnie podtrzymywane gorliwie przez Leona Dołżyckiego niedzielne poranki dyskusyjne.

Rzeczą najważniejszą jednakże, rzeczywistym dowodem wiosennego renesansu życia kulturalnego w Poznaniu jest już zrealizowane Zrzeszenie Związków Artystycznych.

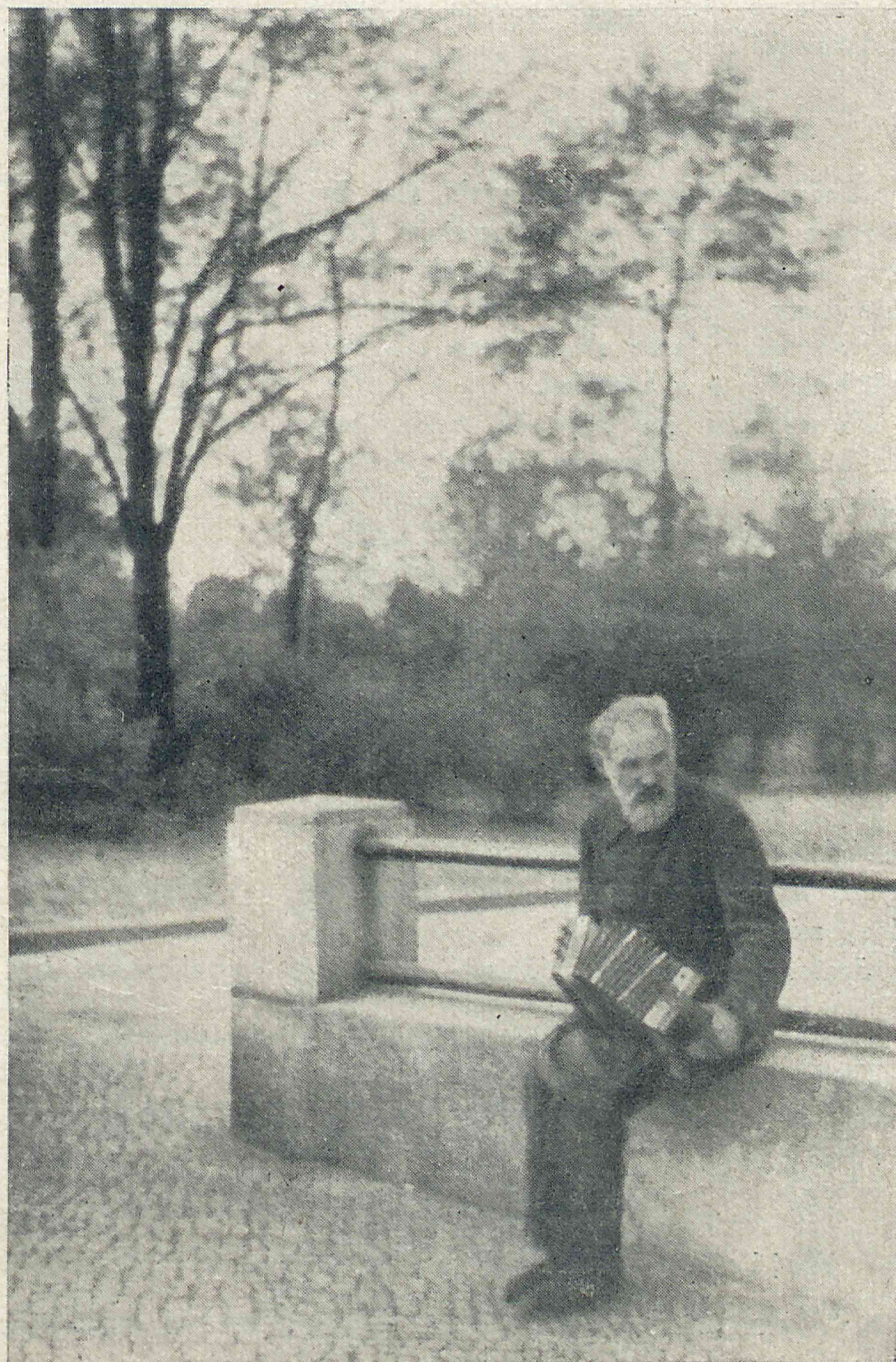
Powiedziano wprawdzie w Ewangelji, że „nie będzie uczeń nad mistrza", ale zdaje się, że Poznań poszedł tu nieco dalej, niż Wilno, kojarząc ze sobą nietylko plastyków i literatów, ale łącząc w jedną artystyczną rodzinę przedstawicieli wszelkich odłamów życia kulturalnego naszego miasta. Na odbytem w tym celu specjalnem zebraniu utworzono więc Zrzeszenie, do którego natychmiastowy akces zgłosili prócz pisarzy, malarzy i rzeźbiarzy także przedstawiciele zespołów muzyków-kompozytorów, reprezentanci katedr uniwersyteckich: estetyki, polonistyki, muzykologji i in., dyrektorowie muzeów, przedstawiciele Wydziału Sztuki Województwa, oraz Zarządu Miasta, dalej delegowani różnych grup artystycznych. Na czele komisji statutowej Zrzeszenia stanął art.-malarz Henryk Jackowski, któremu zdaje się przypisać można ojcostwo tak szeroko zakrojonej, kulturalnej instytucji.

Pertraktacje o zdobycie dla Zrzeszenia pałacu Działyńskich w Starym Rynku już są na ukończeniu. Wygotowano już także kosztorys restauracji gmachu, zasięgnięto mądrej rady dyr. ogrodów miejskich Marcinca odnośnie do upiększenia małego parczku, mieszczącego się przy pałacu od strony kościoła Franciszkanów, zebrano już nieco potrzebnych funduszy, tak że, nim słowiki na dobre rozdzwonią się na starych drzewach za wysokim, szkarpami podpartym murem, zjawią się tam już zadumane postacie szukających inspiracji artystów.

Wanda Brzeska



Poznań. Pałac Działyńskich



...czy można już z harmonijką zasiąść na murku przed Operą?...

KALENDARZYK WARSZAWY



Z PRZED PÓŁ WIEKU

„JESZCZE UPADŁOŚĆ"

„Jedna z najbardziej znanych firm B., prowadząca na olbrzymią skalę handel hurtowy wyrobów szmuklerskich i norymberszczyzny, zawiesiła wypłaty.

Pasywa wynoszą 600 tysięcy rs."

ŻYWE OBRAZY

Korespondent „zagraniczny" jednego z dzienników warszawskich donosi z... Krakowa, że odbyły się tam „żywe obrazy z powieści Sienkiewicza „Ogniem i mieczem".

„...najbardziej podobały się obrazy, przedstawiające: spotkanie Skrzetuskiego z Chmielnickim, porwanie Heleny, pojedynek Bohuna, śmierć Podbipięty i t. p. Tak pięknego Skrzetuskiego, jakim był Andrzej hr. Zamoyski, nie mógł sobie nawet wymarzyć Sienkiewicz, Bohunem był hr. Andrzej Potocki, Janem Kazimierzem Adam hr. Tarnowski, Heleną p. Gołaszewska, Anusią Borzobohatą Olga hr. Miączyńska.

Układem obrazów zajmowali się artyści malarze Antoni Piotrowski i Jacek Malczewski".

NIEZDROWO NA... OCZY

„Jeden z klubów tutejszych ma być wkrótce oświetlony elektrycznością. Przyrząd odpowiedni będzie w tych dniach ustawiony i próby zaraz się rozpoczną. Narazie oświetlenie elektryczne będzie w sali balowej i w czytelni.

Ze względu na zdrowie oczu, przy stolikach gry pozostaną nasze poczciwe świece..."

WOLELI CYRK, NIŻ TEATR

„Trupa cyrkowa Cinisellich spodziewana jest w Warszawie koło 25 marca. Biedny... teatr."

„WIELKIE" MIASTO...

„Według ostatnich obliczeń statystycznych, Warszawa posiada obecnie 385 tysięcy mieszkańców.

Jesteśmy wielkiem miastem".

WIOSENNE KAPELUSZE...

„Tysiące leśnych śpiewaków pada ofiarą mody tegorocznej, która każe kapelusze wiosenne ozdabiać temi stworzeniami..."

TEGO JESZCZE NIE BYŁO!

„Jeden z zegarmistrzów umieścił nad swoim sklepem dwa zegary w ten sposób, iż publiczność, przechodząca ulicą w obu kierunkach, może łatwo widzieć godzinę. Jako prawdziwe curiosum zaznaczamy, że zegary te idą z rozczulającą zgodnością".

ŚMIERĆ „KANARKÓW"

Pod szumnym tytułem „Tempora mutantur" znajdujemy pod datą 10 marca następującą niepozbawioną melancholji notatkę dziennikarską:

„Pomiędzy placem Św. Aleksandra a Placem Krasińskich przestały zupełnie kursować historyczne „kanarki".

Garstka „konserwatystów", niechcących wierzyć w nowe belgijskie tramwaje, nie wystarczyła do wyżywienia koni i woźniców omnibusowych na tej linji.

Była to linja najstarsza i kiedyś najwięcej ożywiona w Warszawie.

Przed wprowadzeniem tramwajów kursowało tam 40 omnibusów, dziś 4 utrzymać się nie mogły".

RAUTY „WEŁNIANE"

Pod tym dziwacznym nieco tytułem znajdujemy następującą wzmiankę:

„Raut wełniany odbędzie się u pp. B. przy ulicy Złotej.

Panie bezwarunkowo powinny znajdować się w toaletach codziennych i skromnych, panowie bez fraków.

Przyjęcie ze strony gospodarstwa ma się ograniczać do herbatki z zimnemi przekąskami bez kosztownych dodatków.

Na raucie, prócz pogawędki, będzie w miarę możności i talentów gości, śpiew, muzyka i deklamacja, oraz wprowadza się zbiorowe czytanie arcydzieł dramatycznych: Szekspira, Szyllera, Fredry, Słowackiego i t. p. w ten sposób, że każda rola będzie czytana przez inną osobę.

Początek rautu naznacza się na 8 i pół, koniec o 1-szej po północy.

Spóźniający się płacą po pół rubla kary za każde pół godziny spóźnienia, a każdy z gości składa na ręce gospodarza po 2 złote (30 kopiejek), celem powiększenia wiadomego funduszu, jaki osiągnięty już został z dawnych wieczorków „wełnianych".

Nie ulega wątpliwości, że owa przesadna skromność nie wynikała jedynie z okresu postu. Końcowe tajemnicze zdanie o „wiadomym funduszu" wskazuje jasno, że owe „wełniane" rauty miały cele patrjotyczno-narodowe.

(kar. b.)

PORADY KOSMETYCZNE

Odpowiedzi od redakcji

P. Janinie Z-skiej z Konina. Widocznie ma Pani predyspozycję do piegów, jeśli rok rocznie na wiosnę występują u Pani. Piegi powstają pod wpływem działania promieni słonecznych skutkiem zebrania się pigmentu na ograniczonych miejscach skóry. Leczyć je można zapomocą złuszczania radykalnego lub też powolnego. Bardziej wskazane jest działanie łagodnemi środkami, jak np. kremem Blanca marki Antiba. Tego rodzaju metoda nie daje przykrych objawów i tylko lekko złuszcza naskórek. Krem Blanca jednocześnie wybiela i udelikatnia skórę.

P. Jadwidze K. w Warszawie. Najmniejsze nawet odrobiny różu lub pudru należy stanowczo na noc usuwać, gdyż każde zanieczyszczenie mechaniczne skóry zatyka pory, powodując zwiotczenie i zniszczenie cery. Należy twarz i cerę smarować kremem do oczyszczania (Cleansing cream — Antiba) a po chwili po roztopieniu się kremu, wytrzeć twarz watką zwilżoną płynem Lotion tonique — Antiba.

P. Irenie B. z Łowicza. Gdy już pozbyła się Pani piegów, radzimy używać stale krem i puder światłochronny — Antiba, które mają własności załamywania promieni słonecznych, ochraniając skórę przed tworzeniem się pigmentu. Ręce zabezpieczy Pani galaretką Glicerijell.

ŚWIAT TEATRU

Teatr Letni

„Szkoła podatników" Verneuil'a i Berr'a.

Istnieje doskonała sztuka Antonellego pod tytułem „Dramat, komedja i farsa". W trzech aktach powtarza się jednakowa akcja, za każdym razem inaczej ujęta: w pierwszym akcie dramatycznie, w drugim komedjowo, w trzecim farsowo. Sztuka dla istotnych miłośników teatru, z której widzowie wynoszą nietylko zabawę, ale i „głębsze znaczenie": naocznie przekonywują się, jakie są różnice między temi trzema formami twórczości scenicznej.

Różnice kolosalne! O tem wiedzą wszyscy, oczywiście. Zapomina się o tem czasami w warszawskich teatrach, gdzie pojęciami „dramat", „farsa", „sztuka", „komedja" igra się nie tyle w zależności od istotnego charakteru sztuki, ile od chwilowej konjunktury zewnętrznej. „Nie wypada" wystawić farsy? — No to ją się zaprezentuje jako „komedję"—i wszystko w porządku.

Niestety farsa farsą pozostanie, choćby ją nawet nazwano tragedją. Farsa, pozbawiona inwencji i dowcipu, którą mieliśmy możność oglądać w Teatrze Letnim, właśnie zwie się na afiszu komedją. Nie posiada ani komedjowych charakterów, ani komedjowych ludzkich konfliktów, ani komedjowej finezji. Operuje kilkoma kukłami, od wielu lat panoszącemi się w brukowej farsie francuskiej: stary lowelas „pies na mężatki", nudząca się żoneczka, która przez trzy akty szuka sposobności do przyprawienia rogów mężowi, mężuś ślepy jak każdy, predestynowany rogacz, urzędnik tępy i bezduszny, kokotka chytra, choć głupia i animalna, poeta gadatliwy i idjota — same szablony z cudzych pomysłów wykrojone. I nawet nie powiązane oryginalnością sytuacji ani broń Boże dowcipnym djalogiem. Akcja się wlecze, dowcipy kuleją, aktorzy się peszą. Co oni temu winni?

Każdy robił co mógł, ale nawet obsada była niewłaściwa.

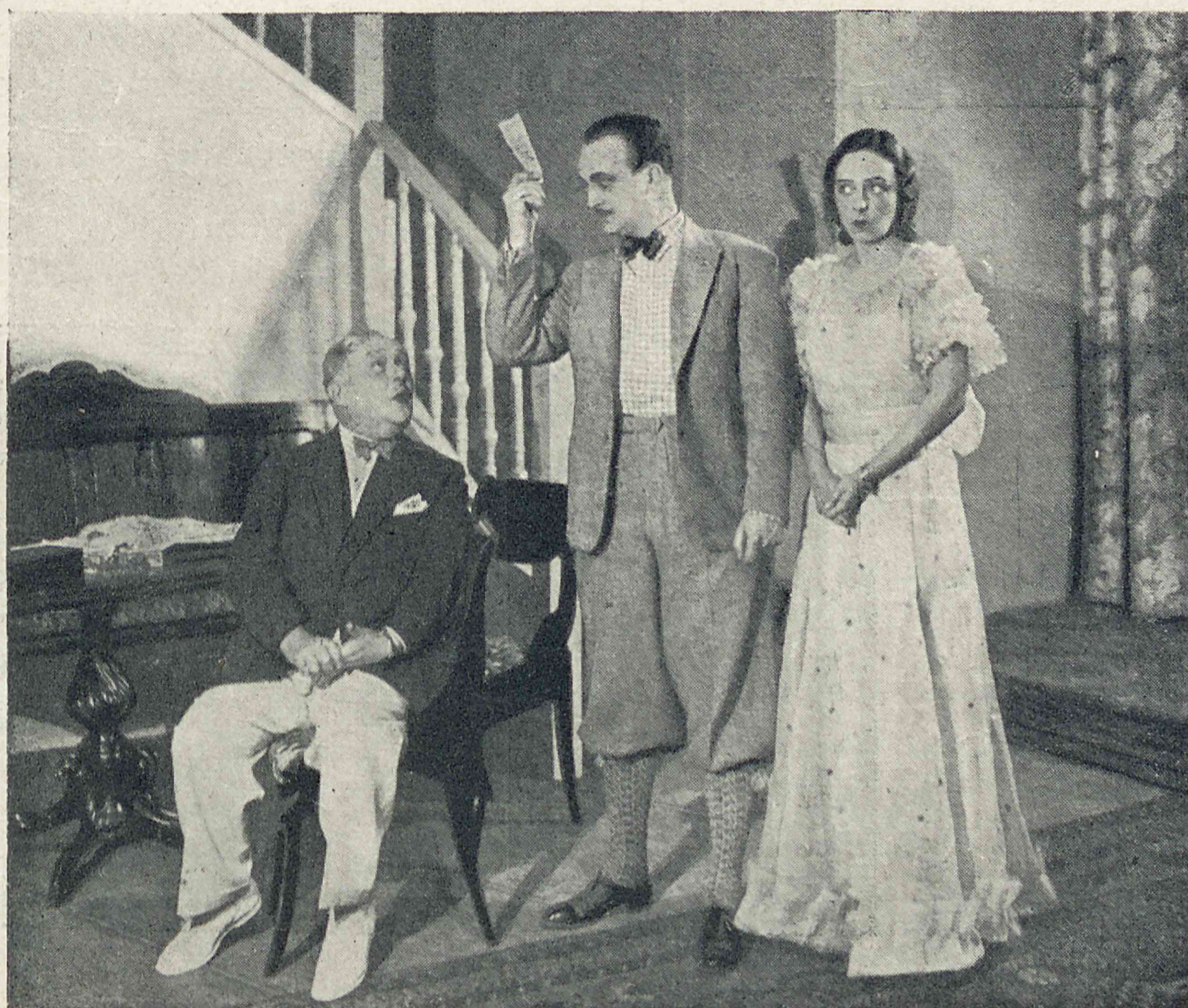
Inteligentnej lirycznej artystce komedjowej, niezapomnianej Racheli z „Wesela", kazano być pustą strojnisią, której żywiołem jest wyrzucanie na toalety sum fantastycznych, wszystko jedno jakim procederem zdobytych. Tymczasem p. Lindorffówna nie posiada farsowego „sznytu", ma natomiast uczucie i duszę — czyli wszystkie zalety, których w tej sztuce posiadać nie należy.

Fertner, Kurnakowicz i Wesołowski, starali się krzesać humor.

Jedyny świetny epizod stworzyła Jarkowska, która ma z natury w głosie, w dykcji jakąś dwuznaczność: kiedy mówi najzwyczajniej „dzień dobry", szuka się mimowoli „co ona chce przez to powiedzieć?"

Reżyserja niejednolita (czy warto było silić się na lepszą, wątpię) — dekoracje nieco kryzysowe — a przedewszystkiem nie skomponowane kolorystycznie. Widać było, że ani reżyser, ani dekorator, ani aktorzy nie przystępowali do tej farsy z entuzjazmem. I mieli coprawda rację.

Z. N. Ch.



„Szkoła podatników" Verneuil'a w Teatrze Letnim. Fertner, Wesołowski i Lindorffówna

Fot. Malarski

TEATR NOWY

„Upiory" Ibsena Solski i Dulębianka

Fot. Malarski



W gościnie u warszawskich „Imciarzy”

Ulica Konopnickiej 6?...

Siedziba popularnej „Cioci Imci“ w samem śródmieściu, tuż obok placu Trzech Krzyży i zbiegu ul. Wiejskiej. Tereny Frascati. Z ulicy Wiejskiej widzimy już potężny blok budynku warszawskich „imciarzy“, oświetlony czerwono-błękitnym neonem. Jeszcze niewykończone, czerwone mury, lecz rzęsiste światło przedostające się ze wszystkich okien parteru i liczne sylwetki migające w tych oknach świadczą, że wewnątrz życie już wre.

Oprowadzani po wszystkich zakątkach gmachu, zwiedzamy ten wspaniały a jednocześnie daleki od jakiegokolwiek przepychu lokal klubowy.

W wielkiej sali koło kominka siedzą młodzi ludzie: studenci, urzędnicy, biuraliści, lekarze, adwokaci, pracownicy handlowi, rzemieślnicy — przeglądając prasę całego świata. W następnej sali panuje poważna cisza — to czytelnia książek, dostępna bezpłatnie dla członków. Widzimy dalej grupę zamyślonych nad szachami i warcabami, przechodzimy koło bilardzistów.

Gdzieindziej kilku zapalonych narciarzy, którzy powrócili z obozów narciarskich Polskiej YMCA, wspominają wspólnie przeżyte wrażenia.

Na sali gimnastycznej ćwiczy właśnie grupa starszych panów.

Są to członkowie t. zw. klubu „S. S.“ Polskiej YMCA, czyli „Spóźnionych sportowców“! Kończy się godzina ćwiczeń i starsi panowie zapełniają licznie ciepłe prysznice, urządzone wzorowo, a otwarte dopiero od ubiegłego tygodnia. Następna godzina na sali gimnastycznej należy do chłopców. Potem ćwiczą się młodzi ludzie. Panie korzystają z urządzeń w. f. warszawskiej „Imki“ do godz. 6-ej wiecz.

W innej sali ćwiczą młodzi bokserzy, obok odbywa się trening zapaśniczy. Zwiedzamy też przy okazji wielką salę gimnastyczną, która nie jest jeszcze wykończona i w chwili obecnej używana jest przez praktyczną Imkę, jako kryty kort tennisowy, dostępny zarówno dla „imciarzy“, jak i osób niestowarzyszonych. Widzimy właśnie, jak mistrz Tłoczyński odbywa tu trening.

Schodzimy wreszcie do pływalni. Wzorowo zaprojektowany basen pływacki w śródmieściu stolicy będzie istną rewelacją. — Oby jak najprędzej był wykończony!

W oddziale chłopców jedna grupa otacza stoły ping-pongowe, druga, w sąsiednim pokoju, odbywa jakąś atrakcyjną pogadankę, inni zajęci są grami towarzyskiemi, czytają pisma, specjalnie dla nich dobrane. Jeszcze inni, którzy nie mają w domu odpowiednich warunków do nauki, odrabiają lekcje w Ymci.

Bawiąc w gościnie u „Cioci Imci“, mamy możność zamienić kilka słów z b. min. inż. Alfonsem Kühnem, prezesem Komitetu Finansowego Budowy Gmachu „Imki“ Warszawskiej. Polska YMCA, pragnąc jak najszybciej oddać cały gmach do użytku społeczeństwa stolicy, przystąpiła do wielkiej zbiórki funduszów, aby go móc wykończyć.

— Robimy wszelkie starania — mówi p. min. Kühn — aby dokonać tego jak najrychlej, gdyż właśnie dziś, w czasach kryzysowych, warsztat pracy społecznej, jakim jest Polska YMCA—potrzebny jest obywatelem wszelkich warstw więcej, niż kiedykolwiek... Ogłaszamy więc *powszechną mobilizację dobrej woli* i wzywamy całe społeczeństwo do udziału w naszych wysiłkach. Zawiązał się ostatnio Komitet Budowy pod wysokim protektoratem p. *Premjera Jędrzejewicza, przy udziale pani Marszałkowej Piłsudskiej* i licznych, najwybitniejszych obywateli kraju.

Samą akcją zbierania funduszów kieruje Komitet Finansowy. Całkowity kosztorys robót, wraz z urządzeniami wewnętrznemi, wynosi ok. 4 i pół miljona zł. — w obecnej zaś chwili brakuje nam ok. 1 miljona i stu tysięcy zł. Zbieramy fundusze stale i w miarę napływania gotówki prowadzimy roboty. Obecnie zaś chcemy sezon budowlany wyzyskać jak najbardziej. Zbieramy bez przerwy większe dary od instytucyj i zamożniejszych jednostek, a pozatem teraz w marcu prowadzimy wielką zbiórkę masową wśród szerokich sfer społeczeństwa...

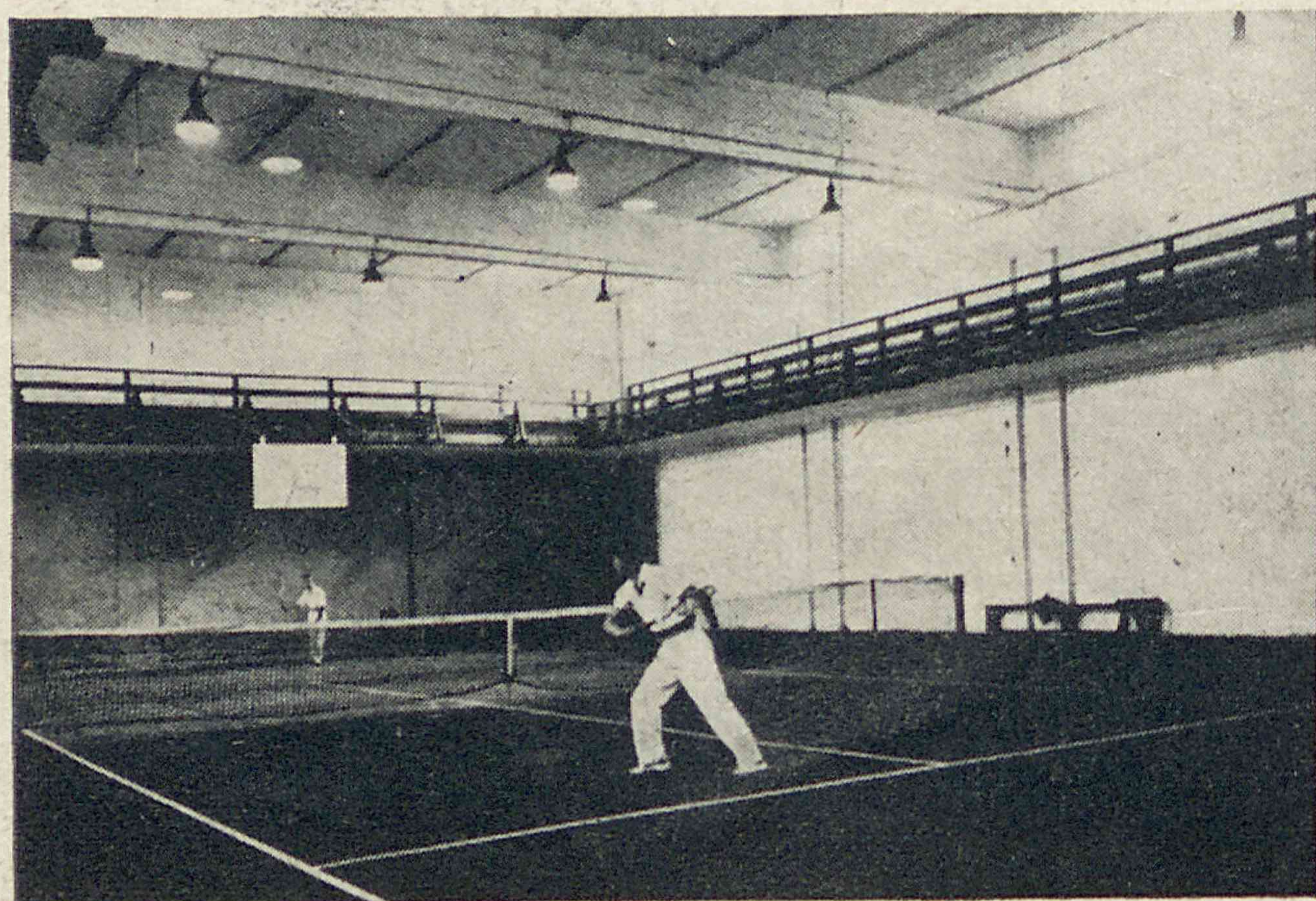
Kras.

Pełnowartościowy obywatel Państwa musi posiadać trzy właściwości: wartość duchową, sprawność fizyczną i tężyznę umysłu. Zdobywa je w dyscyplinie rodziny i szkoły, zużytkowuje w życiu zbiorowem. Ymca jest jako organizacja zbiorowością wszystkich sfer; robotnik i akademik, profesor i kupiec znajdują tu szkołę dla swych charakterów i pole do rozwoju zalet pełnowartościowych obywateli.

Dr Henryk Gruber

Warszawa 25/lutego 1934

Autograf Prezesa P. K. O., dra Henryka Grubera, Wiceprezesa Komitetu Finansowego Ymca



Kryty kort tenisowy Ymci



Dział chłopców w gmachu Ymci

Don Kichot



Posterunkowy złożył meldunek i na kratkach przed biurkiem powiesił corpus delicti — laskę.

Pan komisarz bacznie zlustrował aresztowanego.

Był nim siwy, trzęsący się staruszek, którego cały wygląd zewnętrzny świadczył o przynależności do kategorji ludzi zawsze będących w zgodzie z prawem.

— Nazwisko pana?

Nie mogąc wydobyć z siebie głosu, starzec wskazał ręką na biurko, gdzie leżały jego dokumenty osobiste.

Pan komisarz począł czytać, mrucząc półgłosem:

— Stanisław Młociński, lat 72... hm... doktór filozofji... profesor honoris causa uniwersytetu w Oxfordzie... członek zagranicznych towarzystw naukowych — prezes Związku Miłośników Mowy Ojczystej...

Podniósł głowę i spojrzał z wyrzutem na badanego.

— I pan, człowiek, panie tego, z wykształceniem, osoba inteligentna, na ulicy? laską? Absolutnie nie rozumiem!

Staruszek dał znak, że pragnie odpowiedzieć. Począł mówić z ogromnym wysiłkiem, gubiąc wciąż myśli i słowa. Co chwila chwytał się ręką za lewy bok, gdzie, widocznie, odczuwał przejmujący ból.

— Nie mogłem... Bóg świadkiem — dłużej nie mogłem... Przeszło czterdzieści lat — pracowałem... pracowaliśmy — aby tę naszą polską mowę ochronić przed pruską i moskiewską zarazą... Książki gazety, broszury... Dziesięć lat w cytadeli — cztery w Szlisselburgu... Cierpiałem i wierzyłem jak inni — że kiedy przyjdzie Polska — język nasz tembardziej, jak największa świętość, będzie strzeżony — a kto się targnie na jego czystość — kto ją splami... jako zbrodniarz — przed trybunałem — jako świętokradca — odpowie... Niestety, zawiodłem się... Jak tę naszą mowę dziś deprawują! Przestałem czytać książki młodych autorów, gazety... Idąc ulicą, zamykam oczy, aby nie widzieć tych potwornych napisów... Postanowiłem nie opuszczać mieszkania — sądziłem, że to mnie uchroni przed męką... Wczoraj rano podszedłem do okna i ze zgrozą zobaczyłem naprzeciwko nowy szyld z takim właśnie ohydnym napisem... Wziąłem laskę, wyszedłem na ulicę... Resztę panowie już wiecie...

Umilkł, zupełnie wyczerpany.

— Jak to było? — zwrócił się komisarz do posterunkowego.

Policjant otworzył notes i, patrząc weń, odczytywał spisany przez siebie protokół.

— Stanisław Młociński został zatrzymany przezemnie w chwili, kiedy niepostrzeżony przez nikogo, korzystając z pustki na ulicach, nad ranem tą laską rozbijał szklane szyldy nad sklepami. Oto lista poszkodowanych firm, ustalona według zeznań wiarogodnych świadków:

1. Polska Wytwórnia Ścierek i Worków „Ścier-wo-pol"...

— Panowie! — jęknął żałośnie staruszek, — zlitujcie się, oszczędźcie mi cierpień!... To właśnie ten nowy szyld...

Posterunkowy czytał dalej:

2. Magazyn pościeli — „Kołderpuch".

3. Ryby świeże i śnięte — „Śledzioryb".

4. Obuwie męskie i damskie — „Butopol".

5. Polski magazyn mód — „Pol-mamód".

Aresztowany jęczał coraz głośniej.

6. Obuwie wojskowe — „Tanioskór".

7. Skład porcelany — „Szkłomel".

8. Skład drutu i blachy — „Gwoździoblach".

9. Kolektura loterji — „Główonolos".

— Jak? jak? — zdziwił się komisarz.

— „Główno-los" — powtórzył, akcentując, posterunkowy.

Staruszek nie jęczał już, ale rzęził. Osunął się bezwładnie na ławkę.

10. Warszawskie konserwy — „Wakons".

11. Galanterja męskodamska — „Polszyk".

12. Sprzedaż masła A. Berg — „Masłoberg".

13. Hodowla królików M. Duch — „Król-duch"...

Ostatnia nazwa firmy targnęła aresztowanym, niby prąd elektryczny. Zerwał się i począł bić rękami, jak człowiek, który gasi na sobie płonącą odzież. Potem okręcił się na miejscu i padł zesztywniały na podłogę.

Posterunkowy czytał dalej.

T. R.



Wystawa rysunków i robót ręcznych dzieci szkół powszechnych

(S) W pięknym gmachu Związku Nauczycielstwa Polskiego w Warszawie przy ulicy Dobrej można oglądać tę miłą i interesującą wystawę. Dzieci nasze w szkole powszechnej dużo i często rysują, na lekcji polskiego, na lekcji historji, przyrody, a nawet religji. Są dzieci, które są tem zachwycone. Ale są i takie, które nie mogą się z tem pogodzić. Dlatego też z zaciekawieniem przyglądamy się rysunkom i robotom na wystawie. Dowiedzieć się z nich można o możliwościach rysunkowych uczniów i o dążeniach metody.

Zdawaćby się mogło, że nauczycielowi rysunków wcale niezgorzej wiedzie się w szkole. Gdy koledzy jego muszą uczyć, wyjaśniać i tłomaczyć, powtarzać i pytać, on poprostu wchodzi do klasy i mówi: Narysujcie drogę wiejską. Albo: narysujcie mamę, kupującą węgiel, albo wojsko idące po ulicy.

Jak sobie radzą dzieci z temi, zdawałoby się, szalonemi żądaniami? Wcale nieźle. Ale też nie wymaga się od nich odtworzenia rzeczywistości, a tylko dowolnego reprodukowania obrazu wzrokowego. Rysunek tego typu ma zaspokoić potrzebę plastycznego wyrażenia przeżyć wizualnych dziecka.

Oczywiście dzieci mogą rysować tylko to, co je zajmuje, dlatego też tematy rysunków związane są ściśle z treścią innych lekcji. A więc widzimy na wystawie wzruszające swym prymitywizmem ilustracje pogadanek o zimie, opale, oświetleniu, pracy krawca, rolnika itd. Rola nauczyciela wobec tego rodzaju rysunków jest bierna. Dziecku zostawia się całkowitą swobodę. Wpływ nauczyciela uwydatnia się dopiero w zakresie innego typu obrazków, t. j. tych, które rysowane są po obserwacji przedmiotu, przeprowadzonej za pomocą odpowiedniego omówienia. Porównanie rysunku z wyobraźni i rysunku poobserwacyjnego poucza nas o trafności metody szkolnej.

Ciekawy jest dział robót ręcznych. Czegóż tu niema? Wioski z tektury i patyczków, kołyski z orzechów, lalki z szyszek, meble z pudełek od zapałek, św. Mikołaj z papierowych tutek. Pomysłowość jest wielka, nietylko w zakresie techniki sporządzania tych cacek, ale również na punkcie wyboru samego materjału. Wszystko co najtańsze, co niepotrzebne, co jest odpadkiem i mogłoby się stać bezużytecznym śmieciem, jest skrzętnie zbierane i mądrze zużyte. Zasada korelacji nauczania jest i tu wyraźna. Zabawki te, podobnie jak rysunki, są w ścisłym związku z lekcjami, zwłaszcza z lekcją polskiego i stanowią jej ilustrację.

Wszędzie widać dbałość o organizowanie zbiorowej pracy. Uczeń lepi domek, ale stanie on na ulicy, którą zbuduje cała klasa. Sporządza jeden sprzęt, ale stanie się on częścią urządzenia całego pokoju lalczynego lub mieszkania. Prócz sprawności ręki zdobywa dziecko dzięki takim robotom jeszcze coś więcej: zabawkę, której tak łaknie, a której przeważnie jest pozbawione, zwłaszcza na wsi.

Uderza na wystawie brak robót zdobniczych. Jest to zgodne z tendencją programu, który prace tego rodzaju zupełnie pomija, wychodząc z założenia, że szkoła nie powinna wpływać na wrodzone instynkty i zdolności zdobnicze ludu. Nauka szkolna mogłaby zniszczyć prymityw i świeżość sztuki ludowej, zaszczepiając jej obce pierwiastki. Wycinanka np. usunięta jest kompletnie z programu. Jest to słuszna ochrona samorodnej sztuki ludowej przed szablonem.

Akwarela „Orka w polu"



Zabawka „Żaglowiec"



ŚWIAT FILMU

REWIZOR
W KINIE „PALACE"

Trzeba doprawdy wielkiej maestrji reżysera, scenarzysty, inscenizatora, aktora, aby odtworzyć na ekranie dzieje nieśmiertelnego Chlestakowa i jego przygód w roli fałszywego rewizora. A film z Vlastą Burianem jest tylko b. przeciętną przeróbką, nie przynoszącą nic oryginalnego, nowego. Burian do roli Chlestakowa nie nadaje się. Ten lekkoduch blagier, który naciąga wszystkich dygnitarzy miasteczka, robi to przecież z pewnym niefrasobliwym wdziękiem i dużem poczuciem humoru (czego dowodem ów fatalny list do przyjaciela w Petersburgu) — a tego napróżno szukać u Burjana. Nie uratuje sytuacji scena uczty, gdzie Burjan - Chlestakow śpiewa piosenki i tłucze po pijanemu szkło.

Pozostali wykonawcy głównych ról pokazali tylko bardzo charakterystyczne maski, ale byli przez to sztuczni i zanadto groteskowi, zwłaszcza przy zupełnie realistycznem traktowaniu całej inscenizacji.

Na marginesie uwaga pod adresem tłomacza napisów. Nazwa Petrograd powstała dopiero w okresie wojny, celem zrusyfikowania niemieckiego brzmienia Petersburg. Chlestakow więc w żaden sposób nie mógł mówić o Petrogradzie, ani pisać listów pod tym adresem, bo nawet bez „pomocy" pocztyljona ów list nie trafiłby do adresata.

WANDALIZMEM NA WŁASNEJ URODZIE

jest bezsprzecznie, w świetle dzisiejszych zasad wiedzy lekarsko-kosmetycznej dobór bylejakiego preparatu kosmetycznego, bez uwzględnienia potrzeb — danej właściwości cery, skóry, ciała i włosów, ba — nawet pory roku. Kierując się logiką, zrozumie każdy laik, że np. tłusta cera ulec musi doszczętnemu spustoszeniu, gdy się stosuje mydło, krem lub puder tłusty. Cerę bowiem połyskującą, skłonną do wągrów i porów, winno się właśnie odtłuścić myciem gorącą wodą i wyłącznie proszkiem marmurowym „Miraculum", oraz pudrować odtłuszczającym pudrem higjenicznym Dra Lustra. Już przykład ten poucza nas o konieczności dostosowania nawet odpowiedniego pudru do różnych właściwości cery. Wykwintny puder „Egzotyczny" Dra Lustra nie odtłuści tłustej cery, ponieważ przeznaczeniem tego niezrównanego preparatu jest zmiękczenie twardego naskórka i ochrona przed wysuszającym wpływem czynników zewnętrznych. Puder Egzotyczny Dra Lustra nadaje się przeto do pielęgnowania prawidłowej i suchej cery. O kremach, pielęgnowaniu prawidłowej cery, zwalczaniu suchości cery — w następnym artykule.

POŻAR NAD WOŁGĄ
KINO „ATLANTIC"

Istna wieża Babel!

Film produkcji czeskiej, wyświetlany w Warszawie, chłopi mówią po francusku z paryskim akcencikiem...

Wśród zespołu Inkiszyniow, Kowanko i — Albert Prejean w roli carskiego oficera...

Bunt kozaków nadwołżańskich, na ich czele ktoś niby Stienka Razin, niby Pugaczew, a kochanka jego przybrana w najnowsze modele paryskich magazynów...

Zbuntowane hordy kozactwa i tatarów i współczesne karabiny maszynowe...

Egzotyka typów zbuntowanego chłopstwa, wzorowana na... filmach amerykańskich.

Trudno nam w tych warunkach wzruszyć się tragicznemi przygodami rycerza sans peur et reproche, walczącego za „caria i otieczestwo" i o miłość córki komendanta miejscowego garnizonu.

Wszystko razem już zbyt prymitywne i naiwne.

Na korzyść filmu zapisać należy szereg dobrych scen batalistycznych i zbiorowych.

krk

Z ŻAŁOBNEJ KARTY



Ś. p. Jerzy hr. Tarnowski

Ś. p. Jerzy hr. Tarnowski, syn Gustawa i Stefanji z XX. Lubomirskich, urodzony na Podolu 17 kwietnia 1882 r., zmarł w Paryżu dn. 2 marca 1934 r. Po odbyciu studjów w gimnazjum poznańskiem, ukończył fakultet chemiczny na uniwersytecie w Hannowerze. Wojna zaskoczyła go w Austrji. Jako poddany rosyjski, został internowany w Wiedniu i dopiero po zajęciu Królestwa przez Niemców, uzyskał możność powrotu do kraju. Po przyjeździe do Warszawy, oddał się niezwłocznie pracy w polskich organizacjach społecznych, działając przy boku swego kuzyna, ówczesnego Prezydenta miasta ks. Zdzisława Lubomirskiego. Z chwilą powołania do życia Rady Regencyjnej, ofiarował jej swą pracę, towarzysząc członkom Rady w ich podróży do Wiednia i Berlina. W 1918 r. został delegowany do Marmaros Sziget, podczas pamiętnego procesu, przyczem, dzięki Jego usilnym zabiegom, wielu zagrożonych legjonistów ocalił przed wyrokiem.

Po odbudowie niepodległości, poświęcił się niezmordowanie, z zupełnem oddaniem, pracy nad organizowaniem tworzącego się Ministerjum Spraw Zagranicznych. Po kilkoletniej pracy w centrali M. S. Z. w charakterze zastępcy dyrektora Protokółu Dyplomatycznego, został w czerwcu 1926 r. wydelegowany do Madrytu w randze Radcy Legacyjnego. Dnia 1 marca 1931 r. został przydzielony do Ambasady R. P. w Paryżu, na stanowisko Attaché honorowego.

Ś. p. Jerzy hr. Tarnowski odznaczał się rozumem, szlachetnością duszy, wielką dobrocią serca, wysoką kulturą umysłu, prawością charakteru i chrześcijańską prawdziwie skromnością. Nadzwyczaj subtelny, kochający piękno, umiłował całem sercem muzykę. Każdą, wolną od służby dla Ojczyzny chwilę, poświęcał tej anielskiej rozrywce. Jego wspaniała gra skrzypcowa stanowiła prawdziwą ucztę artystyczną dla grona wybranych przez Niego słuchaczów. Była chwila, kiedy nosił się z myślą zupełnego poświęcenia muzyce, lecz poczucie obowiązków dla dobra zmartwychpowstałej Ojczyzny — przemogło.

Umierając przedwcześnie w pełni sił Ducha, osierocił żonę Zofję z Karnkowskich i siostrę, oraz pogrążył w głębokim i szczerym żalu grono przyjaciół, którzy umieli cenić Jego wysokie wartości i doniosłe zasługi, położone dla kraju.

Za zasługi, położone dla dobra państwa został nagrodzony Orderem oficerskim Polonia Restituta. Niezależnie od tego otrzymał oficerską Legję Honorową i komandorję z sześcioma gwiazdami licznych orderów zagranicznych.

Cześć Jego pamięci.

* * *

W kwietniu b. r. odbędą się na Górnym Śląsku, stosownie do przepisów Konwencji Genewskiej, coroczne zapisy szkolne.

Wobec kryzysu, bezrobocia i nędzy, jaka panuje na Górnym Śląsku, akcja zapisów nabiera szczególnego znaczenia. Rodzice nie mając pieniędzy na zakup książek, zapisują niejednokrotnie dzieci do szkół niemieckich, wiedząc, że w szkołach tych książki niemieckie rozdaje się dzieciom niezamożnym bezpłatnie.

Pracy tej społeczeństwo polskie przeciwstawić się musi wszelkiemi siłami. Prócz propagandy i akcji uświadamiającej, udzielić trzeba bezrobotnym pomocy zwłaszcza w kierunku zaopatrzenia dzieci ich, w odpowiednie pomoce szkolne, przedewszystkiem w podręczniki polskie.

W tym celu Zarząd Towarzystwa Kulturalno-Oświatowego „Nasza Czytelnia dla Górnego Śląska", które ma za zadanie organizowanie i utrzymywanie bibljotek przy kopalniach i hutach na Górnym Śląsku oraz wydaje od kilku lat kalendarz Górniczo-Hutniczy dla robotników śląskich, apeluje do całego społeczeństwa polskiego o składanie choćby skromnych ofiar pieniężnych na zakup niezbędnej książki polskiej dla biednych dzieci polskich na Śląsku. Dla tak ważnej akcji znajdzie się chyba w całem Państwie Polskiem trochę pieniędzy, by ulżyć niedoli bezrobotnych i niedopuścić do zatruwania dusz polskich na Górnym Śląsku.

Ewentualne ofiary prosimy kierować na konto Towarzystwa „Nasza Czytelnia" w P. K. O. Nr. 6.275.

Adres Towarzystwa „Nasza Czytelnia dla Górnego Śląska" — Mokotowska 19 miesz. 8. Telefon: 8-72-33. Godziny biurowe od 10-ej do 2-giej pp.

Wieczór Kapistów w I. P. S.

W piątek, 23 b. m. o godz. 21-ej, odbędzie się w wielkiej sali Instytutu Propagandy Sztuki wieczór grupy malarzy K. P. Na scenie będzie wystawiona „Śmierć Fauna" Tytusa Czyżewskiego, „Taniec Ptaszków", „Serce Panny Agnieszki" i inne utwory, które były grane z dużem powodzeniem w Paryżu na Montparnassie.

Zamówienia na stoliki przyjmuje sekretarjat I. P. S.

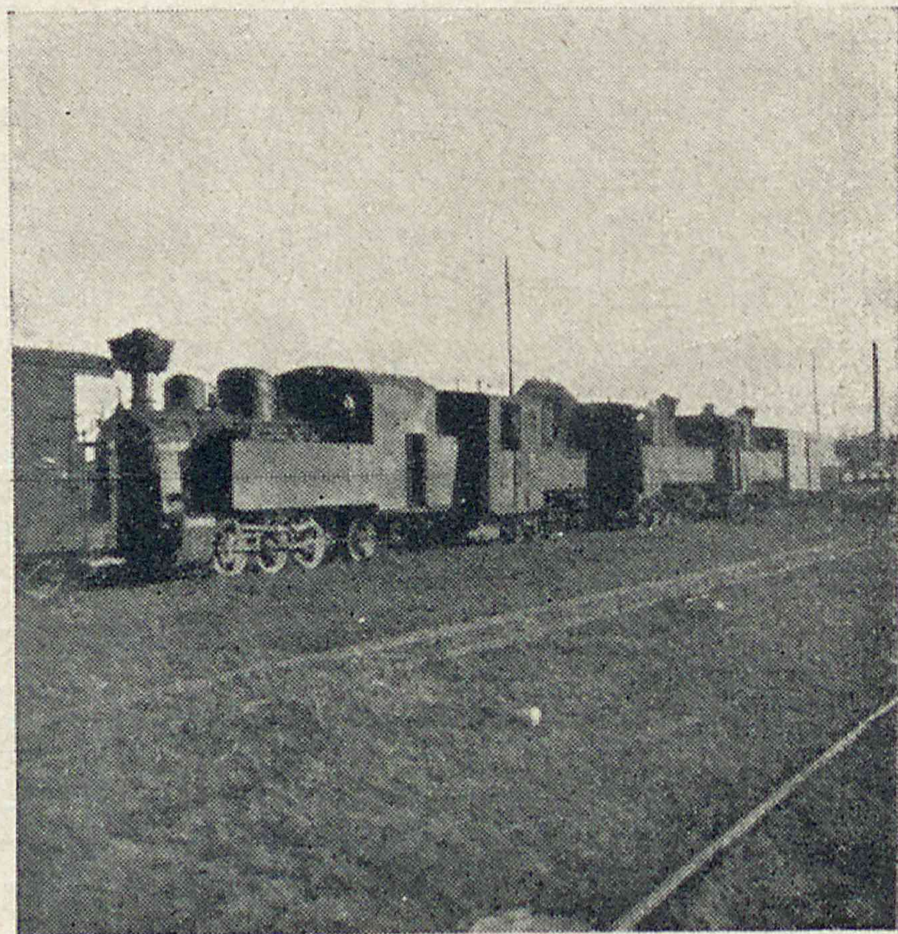
Od Włocławka do Krośniewic
Przewrót na kolejkach kujawskich

Niedawno odbył się na Kujawskich Kolejach Wąskotorowych pokaz wąskotorowego wagonu motorowego, zbudowanego całkowicie w kraju, w warsztatach tych kolejek, według planów Państwowych Zakładów Inżynierji. Przybył nań wiceminister komunikacji inż. Piasecki z szeregiem wybitniejszych osobistości ze świata kolejowego i przemysłowego. Próbna jazda wykazała odrazu zalety nowego środka komunikacji, pozwalającego na częsty, szybki i ekonomiczny ruch, przy jednoczesnem zwiększeniu komfortu i bezpieczeństwa (brak dymu, ulepszone hamulce, oświetlenie, ogrzewanie i t. d.).

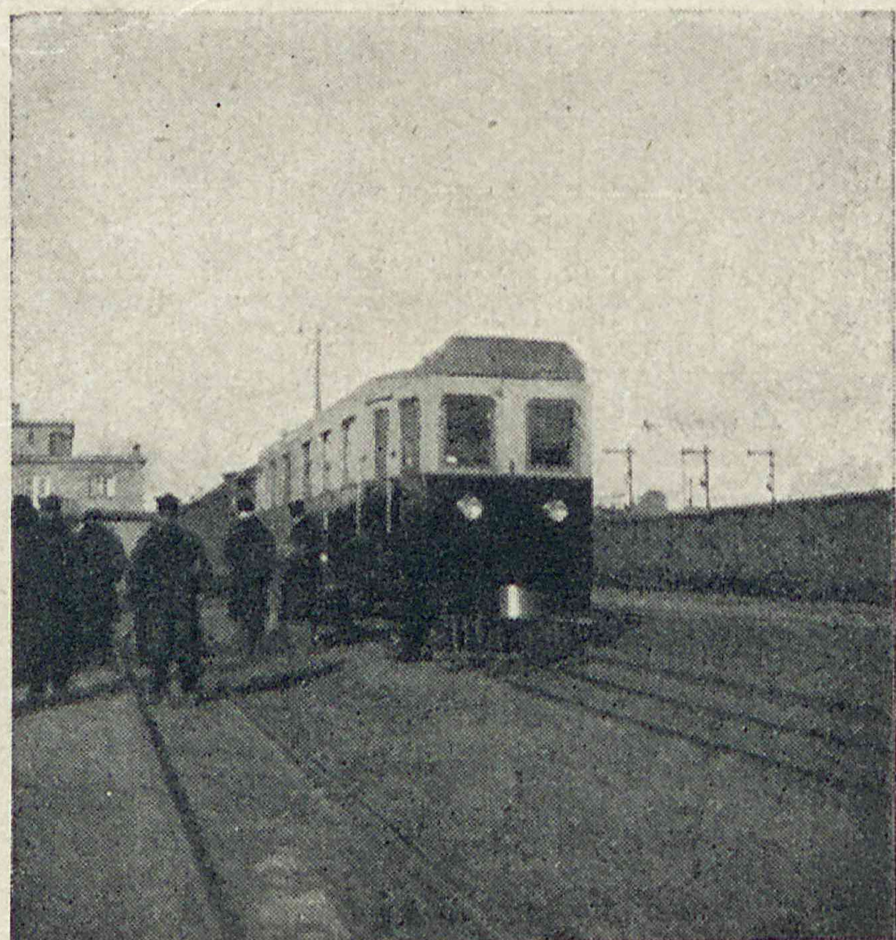
Wagon motorowy Kujawskich Kolei Wąskotorowych, których sieć, poprzez żyzne łany i lasy siedmiu powiatów, ciągnie się na przestrzeni około 500 kilometrów — przedstawia się, jako estetyczny pullman z wbudowanym pośrodku motorem Saurer-Diesel o sile do 100 K. M. W czasie prób wagon ten rozwinął bez przyczepki około 75 km/godz., z przyczepką zaś (normalny wagonik pullmanowski wagi 12 tonn) do 62 km/godz. Na wzniesieniu 15 pro mille ciągnął jeszcze z szybkością 29 km/godz. bez widocznego wysiłku. Koszt godziny ruchu (ropa i smary) nie przekracza 6 złotych, a jeden człowiek całkowicie wystarcza do obsługi.

Inż. J. G.

Samowarki na bocznym torze



Nowy wóz motorowy K. K. W.



„GENTLEMANI"

Wiek XX, będąc z jednej strony epoką rozwoju techniki i wynalazczości, z drugiej wykazuje całkowity zanik najprymitywniejszych pojęć o moralności, etyce i honorze. Człowiek wzbijający się do stratosfery, mający na swoje usługi radio i chemję, staje się barbarzyńcą.

W jednym z sądów grodzkich odbyła się charakterystyczna sprawa. Inżynier E, pracujący przy meljoracji rzek polskich rozbił romantyczny namiot nad Pilicą z popularną artystką rewjową. Lato przeszłoby rozkosznie, gdyby nie małe ale...

Pewnego dnia, inżynier ujrzawszy pustkę w portfelu przyjechał do Warszawy, udał się do mieszkania swojej przyjaciółki i z zamkniętego schówka zabrał pakiet wartościowych papierów, które zamienił na brzęczącą gotówkę. Przyjaciółka, dowiedziawszy się o tym „rycerskim" postępku, wniosła skargę. W sądzie inżynier tłomaczył się, iż umówił się ze swoją wybraną co do wspólnego ponoszenia kosztów „sielanki", a ponieważ umowa ze strony drugiej nie została dotrzymana, w ten sposób sobie „poradził". Rezultat procesu: 8 miesięcy więzienia dla pana E.

Wypadek ten jest charakterystyczny dla dzisiejszych pojęć o „rycerskości" wobec dam. Przypuśćmy, że była taka umowa i że artystka jej nie dotrzymała. Czy jednak w analogicznym wypadku przed wojną znalazłby się człowiek kulturalny, na stanowisku, któryby metodą włamywacza rozstrzygnął zatarg z kobietą, w dodatku pod której stopy słał wstęgę Pilicy? Afera inżyniera, to wymowne „signum temporis", w którym słowo „gentleman" staje się anachronizmem, a natomiast po ziemi chodzi coraz więcej Pochroniów.

Wielkanoc—Święto radości

Tradycyjne uroczystości domowe w gronie rodziny i zaproszonych gości osięgają swój punkt kulminacyjny prawie zawsze przy popołudniowej kawie. Jeżeli wtedy gościnna Pani domu, poda pysznie udany i smaczny placek lub tort świąteczny, upieczony na proszku Oetkera, może być pewna, że zewsząd zbierać będzie pochwały i słowa uznania. Bowiem pieczywo na Oetkerze, odznacza się wybornym smakiem i apetycznym aromatem.





* * *

„Lilla Weneda" Słowackiego uchodzi w zabobonach aktorskich za sztukę, podczas której zdarzają się różne mniej, lub bardziej przykre wypadki.

Piszący te słowa brał udział w jednej z premjer „Lilli Wenedy", która tym razem wybitnie potwierdziła słuszność aktorskiego zabobonu. Na scenie siedziało 12-tu starców półkolem na kamieniach, a każdy miał przed sobą wetkniętą w podłogę płonącą pochodnię.

Gdy aktor przejęzyczył się i zamiast: „Moja piękna córka", powiedział: „Moja piąta kurka umarła", szlachetni starcy zaczęli się trząść ze śmiechu, a jednemu z nich zapaliła się broda o płomień pochodni. Sąsiad oberwał mu brodę i ogień zdeptał.

W następnym akcie podczas djalogu Rozy z Lillą nagle z niewyjaśnionej przyczyny otworzył się hydrant nad sceną, zatapiając ją całkowicie. Zniszczyły się przytem dekoracje, a przedstawienie uległo godzinnej przerwie.

CENY OGŁOSZEŃ

Okładka I tyt. Zł. 700.—.
„ II „ 600.—, 1/2 300, 1/4 150.—, 1/8 75
„ III „ 450.—, 1/2 225, 1/4 112.50
„ IV „ 600.—, 1/2 300,
Za tekstem . . . . . Zł. 600, 1/2 300.—, 1/4 150

Ogł. w tekście i z zastrzeżeniem miejsca 25% drożej
Dział Tam Kupujcie za 1 mil. szerok. jednej szpalty 1 zł.
I-sza strona tekstu (obok artykułu wstępnego) za 1 mil. szerokości jednej szpalty . . . . . 3 zł.

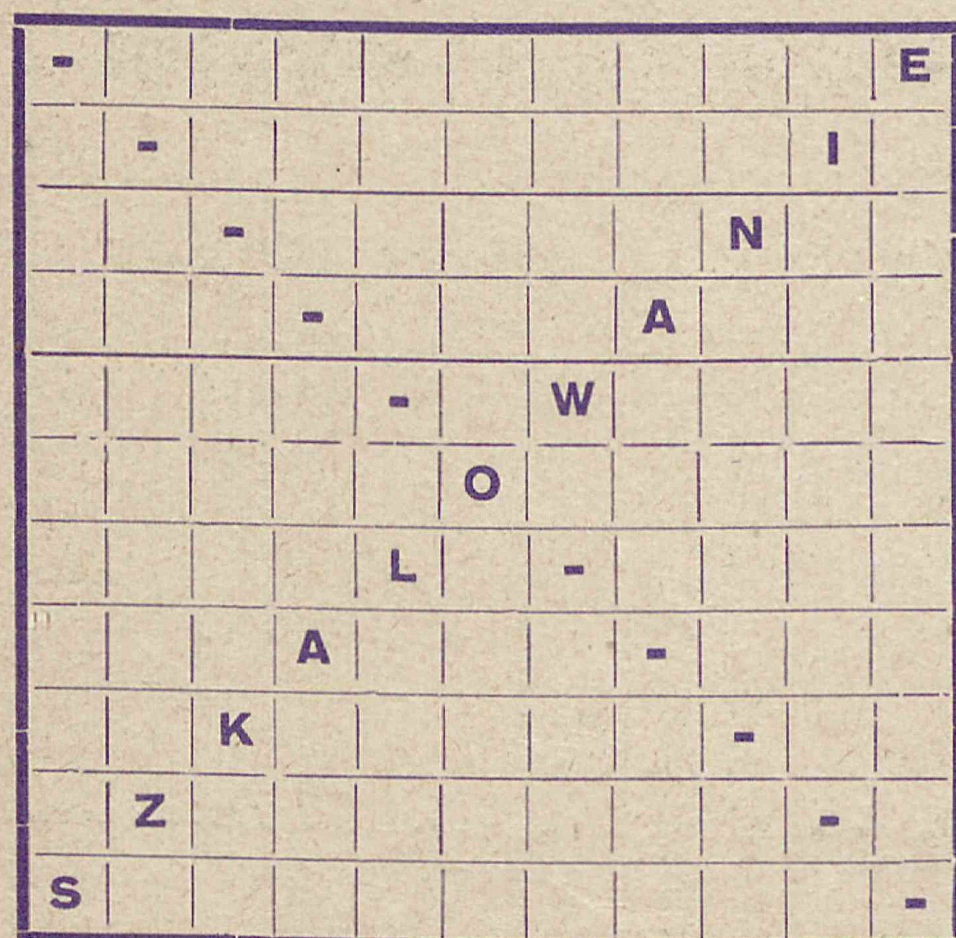
Ceny ogłoszeń w numerach specjalnych oznacza się dla każdego numeru oddzielnie

Rozrywki Umysłowe

№ 26 (316) Zadanie kwadratowe

Ułożyła Izyda Aspis

(Za rozwiązanie 5 punktów).



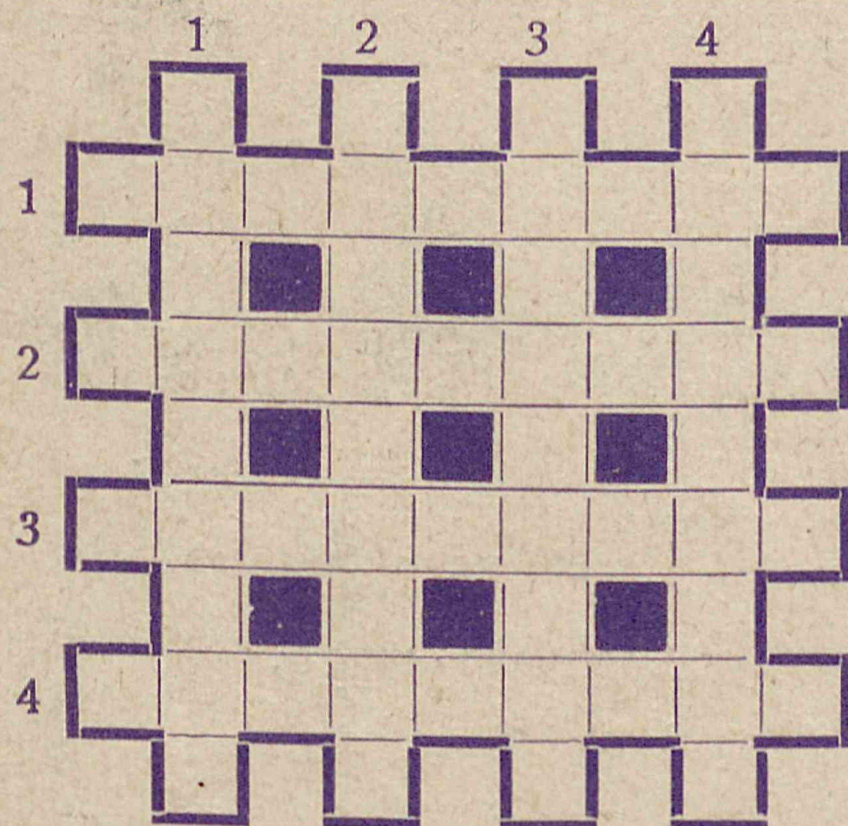
W daną figurę należy wpisać 11 jedenastoliterowych wyrazów poziomych o podanem znaczeniu. Litery w kratkach, oznaczonych na przekątni kwadratu punktami, czytane od góry ku dołowi, dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1. Oczyszczanie dna stawu, lub jeziora. 2. Trudność, przeszkoda. 3. Ogniomistrz. 4. Stępowanie materjału przed skrajaniem. 5. Raczenie, częstowanie. 6. Przyrząd do mierzenia wysokości drzew. 7. Imię żeńskie. 8. Pisanie umówionemi znakami (wspak). 9. Drugie z kolei palce u rąk. 10. Wybraniec losu. 11. Półsenność, ospałość.

№ 27 (317) Krzyżówka magiczna

Ułożyła * * *

(Za rozwiązanie 3 punkty)



W daną figurę należy wpisać 4 dziewięcioliterowe wyrazy, o podanem znaczeniu, czytane tak poziomo, jak i pionowo.

Znaczenie wyrazów: 1. Rzecz zakupiona. 2. Łańcuch gór w północno-zachodnich Himalajach. 3. Streszczanie. 4. Twórca pewnego rodzaju zagadek.

№ 28 (318) Zadanie literackie

Ułożył Zenon Brenek

(Za rozwiązanie 5 punktów)

Znaleść 14 utworów 9 literowych niżej podanych autorów; środkowy rząd da rozwiązanie.

1. F. Zabłocki
2. Z. Bartkiewicz
3. J. Słowacki
4. Z. Krasiński
5. Wł. Orkan
6. K. Makuszyński
7. M. Konopnicka
8. W. S. Reymont
9. St. Wyspiański
10. J. Zacharjasiewicz
11. J. T. Kraszewski
12. E. Orzeszkowa
13. F. Skarbek
14. B. Prus

Rozwiązanie zadań

№ 7 (297) MOZAJKA.

1. Perora. 2. Ramota. 3. Elipsa. 4. Cerata. 5. Ziemia. 6. Zaleta. 7. Enigma. 8. Szarfa. 9. Madera. 10. Uranja. 11. Tetyda. 12. Karoca. 13. Idjota. 14. Emfaza. 15. Matura. 16. Wiosna. 17. Ikarja. 18. Wrzawa. 19. Armata. 20. Temida. 21. Kabała. 22. Alaska. 23. Rutyna. 24. Nagana. 25. Antena. 26. Wymowa. 27. Aldona. 28. Łopata. — „Precz ze smutkiem wiwat karnawał".

№ 8—10 (298—300) METAMORFOZY.

„Kto chce psa uderzyć, ten kij znajdzie".
„Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu".
„Kuj żelazo, póki gorące".

№ 11 (301) ARYTMOGRAF.

1. Adwentowicz. 2. Jezierska. 3. Biegański. 4. Justian. 5. Zelwerowicz. 6. Maszyński. 7. Samborski. 8. Grywińska. 9. Lubieńska. 10. Kajzerówna. 11. Solski. 12. Kurnakowicz. 13. Malicka. 14. Macherska — „Teatry miejskie".

Trafne rozwiązania nadesłali:

№ 7—11 (297—301). (Łączna ilość 23 punkty). Zenon Brenek. Fr. Wiśniewski. Romuald Żak. Dorota Herbstmanówna. Marja Strubel. N. K. Kozłowski. Włodzimierz Hoffmann. L. Glaszmidt. Z. Tietz. Jadwiga Kwiekowa (Dobrzelin). F. W. Kowalski. Jan Popławski. Zofja Suchecka (Radom). Władysław Stock (Pińsk). Józef Małecki. Baśka Żulińska (Częstochowa). Jan Rudziński (Kalisz). Helena Millerowa (Kraków). Ksawery Faliński. J. Zbyszewski (Kraków). Ant. Solecka. Wiktor Rawicz. Tadeusz Pomianowski. Feliks Siedlecki (Poznań). Gertruda Wolska. Jan Kowalski. Henryk Ostrowski. Tadeusz Ritter. Zofja Górska. Bolesław Nowak. Jerzy Halski. Wiktor Sawicki. Tadeusz Noskowski. Cecylja Lewandowska. Stanisław Tański. Karol Waldenberg (Łódź). Janina Rowińska. Ola Borman. Henryk Walewski (Lwów).

№ 7 (297) Jadwiga Wolińska.

№ 11 (301) Jadwiga Wolińska. F. Hartówna. Janina Jentysowa. Stefan Dobrzyński.

NAGRODY OTRZYMALI:

Stefan Dobrzyński (Warszawa)—książkę. Jerzy Halski (Warszawa) — książkę.



„ŚWIAT" Redakcja i Administracja: Warszawa, Szpitalna 12. Tel. Red. 210-87. Tel. Adm. 504-00.

WARUNKI PRENUMERATY (łącznie z premjum książkowem). W Warszawie: Odbiór w Admin. mies. Zł. 5.— kwart. Zł. 13.50. Z odnoszeniem do domu mies. Zł. 5.50, kwart. Zł. 15.—. Na prowincji mies. Zł. 6.— kwart. Zł. 16.20. Zagranicą mies. Zł. 8.— kwart. Zł. 21.60.

KONTO P. K. O. 3.755

Redaktor *L. Chrzanowski* Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. Galewski i Dau, Warszawa

P